

# Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 29.IX.1968 Nr 20 (401) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

## Idą skacząc przez progi czyli rzecz do studentów

### pierwszego roku

Bohdan  
Komorowski

**G**DY zegar w lubelskim miasteczku uniwersyteckim opodal pomnika Marii Curie-Skłodowskiej rozdzielił się melodią „Gaudeamus igitur”, zwiastując nowy rok akademicki, piętnastotysięczna rzesza studentów napelni Lublin radosnym rozgwarem. 15 000 młodzieży studiującej (w tym 10 000 na studiach dziennych) w wojewódzkim mieście liczącym 240 000 mieszkańców oznacza, że co szesnasty mieszkaniec — to student. Zresztą przyjrzyjmy się danym liczbowym z pięciu wyższych uczelni Lublina, ogłoszonym przez prasę w styczniu br.: Uniwersytet M. C. Skłodowskiej (UMCS) — 6 557 studentów, Wyższa Szkoła Rolnicza (WSR) — 3 300, Wyższa Szkoła Inżynierska (WSI) — 2 080, Akademia Medyczna (AM) — 1 954, Katolicki Uniwersytet Lubelski (KUL) — 1 419. Razem — 15 310 studentów, co na tle 280-tysięcznej braci studenckiej w z górą 80 uczelniach kraju stanowi blisko pięć procent.

Na rok 1980 przewiduje się 25 000 studentów w czterech państwowych uczelniach Lublina, z tego 11 000 w samym tylko UMCS, jedynym uniwersytecie prawego brzegu Wisły.

Jedna piąta członków tej ogromnej społeczności studiującej w Lublinie bo około 3 000 — to studenci

I roku, w połowie dzieci robotników i chłopów. Ponieważ z przeszło 6 000 kandydatów zdających na uczelnie wyższe Lublina oni są tymi szczęśliwcami, którzy przebrnęli przez sito egzaminów wstępnych, stanowiąc połowę wszystkich zdających, im pragniemy poświęcić dalsze refleksje wypływające z troski o ich losy i z obawy o to, czy dostawszy się na studia, nie zawiodą nadziei pokładanych przez społeczeństwo, które łoży na ich naukę niemało.

#### Student istota konkretna

Jak oblicza red. Jerzy Dostalni, każda osoba pracująca w województwie lubelskim wydaje rocznie 640 zł na cztery państwowe wyższe uczelnie Lublina, które w bieżącej pięcioletniej pochłonęły przeszło miliard złotych na płace dla pracowników, stypendia, dopłaty do stołówki, opiekę lekarską, pomoce naukowe, konserwację gmachów. W ciągu 18 lat wydano na te uczelnie więcej niż na Fabrykę Samochodów Ciężarowych. Tylko „Azoty” puławskie i gigantyczne cementownie Chelma kosztowały więcej. Zdaniem rektora Grzegorza Seidlera — w samo miasteczko uniwersyteckie włożono pół miliarda złotych, a w

budynki z aparaturą — miliard zł. Nic więc dziwnego, że każdy obywatel, nie wyobcowany ze społeczeństwa, ma prawo zapytać, czy tak ogromny wkład majątku narodowego nie jest marnowany przez studentów?

A oto przeciętny koszt wykształcenia jednego absolwenta szkoły wyższej według danych z 1965 roku w skali krajowej: uniwersytet — 100 700 zł, politechnika — 104 110 zł, wyższa szkoła rolnicza — 148 700 zł, wyższa szkoła ekonomiczna — 110 600 zł, wyższa szkoła pedagogiczna — 88 100 zł, akademia medyczna — 140 600 zł, akademia wychowania fizycznego — 107 700 zł, wyższa szkoła artystyczna — 148 900 zł.

Włączając koszt niższych szczebli nauki, na wykształcenie np. lekarza skarb państwa wydaje 166 000 zł (szkoła podstawowa plus liceum i studia wyższe), inżyniera — około 130 000, specjalisty spraw rolnych — 174 000 zł. Uwzględniono tu wydatki bieżące łącznie z kapitalnymi remontami, bez kształcenia kadry naukowej i studentów za granicą, korzystania z kliniki. A zatem wydatki na wykształcenie jednego absolwenta są wyższe od podanych.

(Ciąg dalszy na str. 8)



Fot. Zbigniew Ramotowski

## Dyskusja nad Tezami

**W**SRÓD wielu ważkich dla narodu wskazań zawartych w Tezach na V Zjazd Partii poważną część zajmuje się problematyką wychowania obywatelskiego, pogłębienia świadomości i zaangażowanych postaw szerokiej mas społecznych, a szczególnie młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej w budownictwie socjalizmu. W obecnym okresie budowy socjalizmu — czytamy w Tezach — zadania ideowo-politycznego wychowania młodzieży zajmują centralne miejsce wśród politycznych zadań partii i państwa, a funkcja wychowawcza szkół, zwłaszcza średnich i wyższych, nabiera szczególnego znaczenia.

Tezy koncentrują więc uwagę aktywno partyjnego i całego frontu pedagogicznego na zagadnieniu podniesienia rangi zadań wychowawczych w całej działalności szkół i uczelni, w procesie nauczania, w pracy pozalekcyjnej i pozaszkolnej. Nie ulega wątpliwości, że postulat ten zwrócony został przede wszystkim pod adresem wyższych uczelni, gdzie najskrajniej wystąpiło w ostatnich latach rozkojarzenie pomiędzy funkcjami naukowo-badawczymi i dydaktycznymi a ideowo-wychowawczymi. Złożyło się zresztą na to szereg przyczyn, a wśród nich i ta, że ostatnio na uczelniach dała się odczuć wyraźna deprecjacja pracy dydaktyczno-wychowawczej na rzecz pracy badawczo-naukowej. W niektórych sekcjach uniwersytetu zajęcia dydaktyczne traktowano wręcz jako „dodatki” uciążliwe obciążenia, a podawana na zajęciach wiedza stała

się wypranym ze wszelkich treści metodologicznych „ekstraktem” faktologicznym.

Po wypadkach marcowych już wielokrotnie wskazywano w prasie, telewizji i radiu, że na wyższych uczelniach często jedynym miernikiem oceny pracownika jest jego dorobek naukowy, a bardzo rzadko — jego talent i osiągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej. Przedstawiając to drastycznie moż-

wego ukształtowania światopoglądu ucznia, pogłębienia w nim zdolności do rozumowego ujmowania problemów oraz umacniania jego rozumowych i uczuciowych związków z ideami socjalizmu, postępu i racjonalizmu. Dalo się to odczuć wyraźnie np. w toku egzaminów na wyższe uczelnie.

W świetle Tez sprawy te powinny być sprowadzone już w najbliższym czasie do właściwych proporcji. Postulat ten nie jest zresztą nowy w tradycji polskiego szkolnictwa. Godzi się tu przypomnieć,

światu zniszczeniem — wszystko to podnosi postulat zwalczania kształcenia „zimnych specjalistów” do rangi najważniejszej.

Jakim więc powinien być współczesny człowiek? Jakim powinien posiadać światopogląd, jaki program działania i życia? Co powinno być jego „busolą” we współczesnym złożonym świecie?

Zyjemy we wspólnocie krajów socjalistycznych, które pod wpływem idei marksizmu modelują nowy układ stosunków międzyludzkich i posiadają sprecyzowany

to i własne ważne zadania. Współczesne szkoły i uczelnie, jak wykazują Tezy, powinny upowszechniać postępowe i patriotyczne tradycje historyczne, pogłębiać związki młodzieży z naszym ustrojem, uczyć umiłowania naszej Ojczyzny — Polski Ludowej, a więc jego najszczytniejszych tradycji, aspiracji i dążeń, wielkości i szlachetności.

Młody człowiek powinien wynieść ze szkoły ugruntowane rozumowo przekonanie, że Polska Ludowa jest spadkobiercą najszlachetniejszych tradycji wielu pokoleń, że socjalizm realizowany w naszym kraju jest kontynuacją i realizacją najwznioślejszych idei polskiej myśli demokratycznej XVIII i XIX wieku, że w panteonie narodowym obok Kościuszki, ks. Ściegiennego, Edwarda Dembowskiego, Jarosława Dąbrowskiego znajdują się nazwiska Waryńskiego, Marchlewskiego, Świerczewskiego i Nowotki, czyn powstańców z 1863 roku i z rewolucji 1905 roku. Ze miłość własnej ojczyzny, przy poszanowaniu innych narodów, jest najważniejszym nakazem i elementem twórczym wyzwalającym dodatkowo siły w codziennej pracy dla dobra narodu i jego przyszłości.

Nie tylko jako historyk muszę stwierdzić, że na froncie historycznym spoczywają w związku z tym szczególne zadania, zarówno w szkołach jak i na wyższych uczelniach. Wskazywał zresztą na to np. zespół pracowników dyskutujących na temat Tez w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. W programach szkół i uczelni zreformowano poważnie zajęcia z zakresu „obywatelskiego wychowania”, dą-

## BEZCENNY KRUSZEC

Zygmunt Mańkowski

na powiedzieć, że np. asystent X bardziej był ceniony za „spichczenie” kilku informacyjnych recenzji w pismach naukowych niż za zaangażowaną, wzorową, wymagającą dużego nakładu czasu i wysiłku, pracę z grupą ćwiczeniową, udzielanie systematycznej konsultacji, inicjowanie właściwej pracy koła naukowego, umiejętność oddziaływania politycznego na młodzież studencką itp.

W pewnym sensie zarzut ten skierować można i pod adresem szkół średnich. I tu wystąpiło zjawisko położenia głównego nacisku na podawanie „suchej” wiedzy, faktów i definicji bez głębszych prób wykorzystania jej dla właści-

że już w XVIII wieku w dobie polskiego Oświecenia działacze Komisji Edukacji Narodowej na wychowaniu obywatelskim kładli szczególny nacisk, dążąc do tego, by wykształcony człowiek posiadał nie tylko wiedzę „fachową”, ale aby był świadomym obywatelem świata i ojczyzny, by był patriotą i działaczem tworzącym świat lepszy.

Złożoność współczesnego życia politycznego świata, jego podział na zmagające się oboje polityczne, pojawienie się w XX wieku ekstremistycznych kierunków faszystowskich, ludobójstwo w latach II wojny światowej, historia wojenna kierowniczych kręgów współczesnego imperializmu, istnienie środków masowej zagłady grożących

naukowo program działania i wizje przyszłego świata. Celem jego jest możliwie pełne wyzwolenie człowieka jako jednostki, stworzenie warunków do rozwoju jego osobowości, zniszczenie wszelkich źródeł nienawiści (klasowej, rasowej, międzynarodowej) i konfliktów wyczerpujących siły pokoleń, ich dorobek materialny, odwracających ich uwagę od tworzenia naprawdę konstruktywnych wartości dla siebie i przyszłych pokoleń. Słowem głównym zadaniem współczesnej szkoły powinno być kształcenie w duchu umiłowania konstruktywnej pracy, postępu, socjalizmu, humanizmu i racjonalizmu.

Jako naród dotkliwie doświadczony przez historię posiadamy ponad-

Dokończenie na str. 3

Literatura

● W przekładzie na język białoruski ukazała się w Mińsku opowieść Janiny Broniewskiej o gen. Karolu Walterze-Swierzeńskim pt. „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”. Utwory polskich klasyków i pisarzy współczesnych są na Białorusi bardzo popularne. W najbliższym czasie ukazuje się tam tom „Liryków” Adama Mickiewicza w ozdobnej edycji, wydanie też wybór najlepszych fragmentów prozy autorów trzech pokoleń pt. „Odkrycie skarbu”. W ostatnich latach w Białoruskiej SRR wydano ponad 300 tytułów utworów polskich pisarzy.

● Powieść dla młodzieży „Tropy wiada przez prerie” Wiesława Wernica ukazała się w NRD. Przełożył ją na język niemiecki Ulrich Brewing, edytor jest wydawnictwo Neues Leben w Berlinie.

● W NRD ukazał się przekład fragmentu książki „Hurzany” Józefa Sobieśiaka i Ryszarda Jegorowa. Książkę tłumaczyła przez Deutscher Militaer Verlag tłumaczka Ruth Maltz.

● W almanachu Związku Pisarzy Radzieckich „Mastierstwo pieriewoda” opublikowane zostaną cztery artykuły Borysa Pasternaka (1890-1963), w których autor dzieli się swymi uwagami na temat przekładów dramatów Szekspira. Trzy z tych artykułów ukazał się drukiem po raz pierwszy.

● Czasopismo „Litteraturnaja Gazeta” informuje o ukazaniu się w Polsce nakładem „Iskier” „Rozmów o książkach” Jarostawa Iwaszkiewicza, które co tydzień publikuje „Życie Warszawy”. „Rozmowy te — stwierdza czasopismo — ze względu na ogromną wiedzę ich autora nie tylko w zakresie literatury, ale i innych sztuk pięknych przydadzą niedzielnym wydaniom popularnej gazety stolicy Polski specjalnego blasku”.

Teatr

● W wyniku nawiązanej ostatnio współpracy między muzeum przy teatrze La Scala w Mediolanie a Muzeum Teatralnym w Warszawie, w końcu br. eksponowana będzie w La Scali wystawa pn. „Opera w Polsce”, która ukazuje historię polskiego teatru operowego. Wystawa włoska zostanie przysłana do Warszawy prawdopodobnie w połowie przyszłego roku.

● Madrycka gazeta „ABC” informuje o życiu teatralnym Portugalii. W poszczególnych prowincjach tego kraju teatr praktycznie nie istnieje. Sale teatralne wykorzystywane są jako kina. Jeśli chodzi o zespoły scen stołecznych, które od czasu do czasu występują na prowincji, ograniczają się do jednego spektaklu w danej miejscowości. W drugim co do wielkości mieście portu galskim — Oporto dopiero niedawno wytworzyło się pojęcie sezonów teatralnych. Zresztą i w Lizbonie sytuacja wygląda nie lepiej.

● Polscy realizatorzy teatralni — Jerzy Grotowski, Stanisław Brzozowski i Ryszard Cieslak znaleźli się w międzynarodowym gronie wykładowców kursu zorganizowanego w duńskim mieście Holstenborg przez Szwedzkie Laboratorium Sztuki Aktorskiej. Kopenhaski dziennik „Politiken” zamieszcza wypowiedzi uczestników kursu, pełne najwyższego uznania dla polskich wykładowców.

● Teatr w Polsce słusznie chlubi się — pisze Czebotarewska w „Litteraturnoj Gazietie” — znakomitymi reżyserami, ale co? Zrobiliby oni bez dobrych aktorów! Aktorstwo polskie poziomem — najwyżej światowy poziom. Szczególnie wrażenie odnosi się śledząc grę Jana Swiderskiego i Tadeusza Lomnickiego.

Sztuka

● Na wzgórzu, które kryje relikty zamku królewskiego w Sieradzu: gotyckiego, Kazimierza Wielkiego i późniejszego — renesansowego, trwają prace wykopaliskowe, prowadzone przez archeologów z sieradzkiego muzeum regionalnego. Ostatnie pozostałości naziemne zamku zniknęły w początkach XIX wieku, a z użyczonej cegły zbudowano wówczas wiele istniejących do dziś kamieniczek mieszkaniowych. W toku prac archeologicznych natrafili na resztki sklepiń renesansowych ze śladami spalenizny.

● Na terenie b. hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Dachau odsłonięto pomnik ku czci ofiar faszyzmu. W uroczystości uczestniczyło ponad 3 tys. b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych z ok. 15 krajów oraz delegacje z prawie wszystkich krajów socjalistycznych. Autorem pomnika jest rzeźbiarz jugosłowiański, Gilda Nandor którego brat zginął w Dachau, a rodzice zostali zamordowani w Oświęcimiu.

● Zakonczono już I etap prac konserwatorskich przy zabezpieczeniu ruin jednego z najwspanialszych XIV-wiecznych zamków warownych Polski południowej, w Lipowcu. Zamek ten, przebudowany w 1732 r., spłonął w czasie najazdu szwedzkiego w końcu XVIII wieku i do dziś zachowały się jedynie niewielkie fragmenty murów obronnych.

● Wielkie usługi oddała dawnej sztuce polskiej w ciągu 16 lat swego istnienia toruńska pracownia konserwacji zabytków. Skłupa ona ponad 100 specjalistów w kilku pracowniach — projektów, konserwacji zabytków i dzieł sztuki, witrażownictwa i dokumentacji technicznej. Działem fachowców z pracowni projektów jest sporządzenie dokumentacji inwentaryzacyjnej i projektów przeszło 600 zabytkowych budowli w woj. bydgoskim, w Olsztynie i Zielonej Górze.

● Londyński Instytut Sztuki Współczesnej zorganizował wystawę, mającą na celu zilustrowanie możliwości wynalazczych ze sfer technologicznych powiązania współczesnej techniki i technologii ze sztuką: w jednej z sal gigantyczny — z plastiku — kwiat zwilcza wyglądający jak roślina z dalekiej planety,

wyciąga swe elektroniczne macki przy najbliższym szmerze rozlegającym się w pobliżu, gdzie indziej tablica, na której rozbliskują niebieskie lub czerwone lampki zależnie od usłyszanego głosu męskiego czy kobiecego. W innej sali na ekranach wyświetlane są próbki grafiki utrzymanej w stylu pop-art z komputerów. Można one stać się źródłem natchnienia dla różnych projektów przemysłowych. Nie ulegałmy jednak złudzeniom: najistotniejszym czynnikiem twórczości artystycznej jest i będzie talent i wyobraźnia człowieka — twórcy.

● Minister spraw zagranicznych Algierii, Abd el Aziz Buteflika, i ambasador Francji w tym kraju, Pierre de Laussel, podpisali porozumienie w sprawie rewizji dzieł sztuki, które przed odzyskaniem niepodległości Algierii wywiezione zostały do Francji. Porozumienie dotyczy 24 obrazów i rysunków. Jest to już druga tego rodzaju umowa między Algierią a Francją. Pierwszą zawarto w grudniu 1965 r.; w oparciu o nią powróciły do Algierii z Francji arabskie archiwa.

● Wspaniała statuę Dantego, która stała na placu Santa Croce we Florencji od roku 1865, postanowiono decyzją władz miejskich usunąć i umieścić... w magazynach municypalnych. Okazało się, że twórcą niesmiertelnej „Boskiej Komedii” padł ofiarą motoryzacji. Zdecydowano, że na placu Santa Croce odbywać się będą corocznie atrakcyjne — głównie dla turystów zagranicznych — popisy sportowe, a w miejscu usuniętego pomnika ma być urządzony parking dla samochodów.

Muzyka

● Benjamin Britten, światowej sławy kompozytor angielski, zakończył prace nad nowym utworem. Siegnął do wątku biblijnego muzyk stworzył dzieło osnutte na te historii o synu marnotrawnym. Forma utworu jest czymś pośrednim między operą, oratorium a misterium.

● Dotychczasowy dyrektor Filharmonii Śląskiej, Karol Stryla, został głównym dyrygentem miejskiej orkiestry symfonicznej w Olsztynie w Danii. W programie gościnnego koncertu zespołu z Olsztynie w kopenhaskim „Tivoli” znalazły się utwory kompozytorów polskich — Feliksa Janiewicza i Wojciecha Kilara, ponadto suita z „Romea i Juli” Prokofiewa.

● Paryska „L'Humanité” zamieściła obszerną recenzję z widowiska baletowego opartego na „Trenie pamięci ofiar Hiroszki”. Krzysztofa Pendereckiego. Spektakl ten znalazł się w programie obchodzonego niedawno „Święta L'Humanité”. Pismo wysoko oceniło nie tylko walory muzyczne „Trenu”, ale omawia również inne dzieła Pendereckiego, zwracając uwagę na zawarte w nich ogólnoludzkie treści.

● Pragniemy uczynić z naszej sceny nowoczesny teatr muzyczny o szeroko pojętym profilu repertuarowym — powiedział przedstawicielowi PAP dyrektor Warszawskiej Operetki, Tadeusz Bursztynowicz. — Musi to być repertuar interesujący wszystkich, a więc obejmujący operę komyczną i wędrowi, klasyczną operetkę i musical. Realizacja takiej koncepcji nie jest łatwym zadaniem. Z jednej strony bowiem staramy się uszanować upodobania publiczności, z drugiej natomiast zdajemy sobie sprawę, że wystawianie współczesnych pozycji wiąże się z ryzykiem. Ale bez ryzyka nie ma eksperymentu, a poza tym czujemy się zobowiązani do torowania drogi na sceny rodzimej twórczości.

Film

● „Sowietskaja Kultura” zamieściła obszerną informację o 25 rocznicy utworzenia „Czołwika Filmowego” i Dywizji im. Tadeusza Kościuszki i o obecnej działalności wytwórni „Czołwika”. Tytuł informacyjny: „Rozkaz nr 588”.

● Luchino Visconti, słynny reżyser włoski, oskarżony został przez tuby propagandowe „Bozu o zamiar realizowania „Antysemickiego filmu”. Oskarżyciele Viscontiego mają na myśli utwór, nad którym obecnie pracuje, mianowicie „Zmierzch bogów”. W filmie tym Visconti pragnie ukazać dzieje jednej z kapitalistycznych rodzin niemieckich w okresie dochodzenia do władzy Hitlera i w czasach jego panowania, a więc i w okresie drugiej wojny światowej, kiedy rodzina ta (niektórzy dopatrują się w niej Kruppów, inni — Thyssenów) aktywnie i gorliwie współuczestniczy w uzbrajaniu III Rzeszy, pośrednio więc w jej zbrodniach.

● Nie bez kłopotów, ale dobrał do końca 29 Festiwal Filmowy w Wenecji. Przyznano nagrody: Złotego Lwa św. Marka otrzymał film zachodniemiecki „Artyści pod cyrkiem kopuła: pełni niepokoju” w reżyserii Aleksandra Kluge. Nagroda Specjalna Jury przypadła ex aequo filmowi włoskiemu reżysera Carmelo Bene „Madonna od Turków” oraz filmowi francuskiemu w reżyserii Roberta Lapoujade „Sokrates”. Puchar Volpi za najlepszą rolę kobiecą otrzymała Laura Betti za film „Teorema” w reżyserii Pier Paolo Pasoliniego, a za najlepszą rolę męską — John Marley za film „Twarze” w reżyserii Johna Cassavetes. Nagrodę „Opera Prima” za najlepszy debiut otrzymał Phil Bresslein za film „Kompromis”. Międzynarodowa Federacja Krytyki Filmowej (FIPRESCI) postanowiła nie przyznawać żadnej nagrody.

● W Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie odbył się pokaz dwu krótkometrażówek zgłoszonych przez polskich twórców na międzynarodowy konkurs filmów olimpijskich urządzony z okazji XIX Igrzysk. Filmy te pt. „Herald” i „Pamięć” w sugestywnym sposób obrazują idee olimpijskie. Oba zrealizował wspólnie Bohdan Kosiński i Andrzej Piekutowski.

● Radzieccy filmowcy zrealizowali dotychczas ponad 100 filmów fabularnych, dokumentalnych i popularnonaukowych poświęconych budownictwu państwa radzieckiego — Włodzimierzowi Leninowi.

● Kilkanaście krajów zgłosiło swój udział w międzynarodowym festiwalu filmowym krajów Azji i Afryki, który odbędzie się w Taszkencie od 31 do 31 października. Filmowcy Japonii pokazali film „Bogowie piemienni Aina”, Kamboży — film fabularny „Maty książę” i kronikę „Królewskie przyjęcie”, Algierii — „Droga”, Swój pierwszy film fabularny „Kierowcy ciężarówki” przedstawia filmowcy Syrii. Kilka krótkometrażówek dokumentalnych nadesła filmowcy Jordani. Ghanc reprezentacją będą filmowe programy telewizyjne.



7 września b. r. zmarł w wieku 81 lat po ciężkiej chorobie, Włodzimierz Chelmiński, nestor lubelskich pisarzy, szlachetny człowiek, który do końca swoich dni uczestniczył w życiu kulturalnym naszego miasta.

Cześć Jego pamięci!

LUBELSKI ODDZIAŁ  
ZWIĄZKU LITERATÓW  
POLSKICH  
REDAKCJA „KAMENY”

Notes „Kamenny”

Cel uświęca środki

Mieczysław Jesion

W OSTATNIM ubiegłorocznym numerze „Kamenny” zamieściliśmy interesujący materiał oparty na książce Denisa Seftona Delmera pt. „Niemcy i ja”. W czasie drugiej wojny światowej Delmer pracował w Secret Service, gdzie powstał plan utworzenia tajnej rozgłośni radiowej mającej udawać rozgłośnię opozycji niemieckiej. Owa rozgłośnia była jedną z form tzw. czarnej propagandy, to znaczy takiej, w której autorstwo nie tylko jest ukryte, ale celowo przypisywane zupełnie komuś innemu.

Po wyładowaniu Hessa w Wielkiej Brytanii ta rzekomo tajna rozgłośnia niemiecka glosiła w nienaganej niemieckiej: Cóż on (Hess) czyni po zapoznaniu się z ciemniejszą stroną rozwoju wypadków? Traci całkowicie głowę, pakuje kilka pudełek z pigułkami hormonowymi, zabiera do swojej teckiej białą flagę i wydadł, aby siebie samego i nas w dodatku wydać na łaskę i niełaskę Churchilla, tego gówniarza o płaskich stopach, starego zapjazconego Żyda. I nie zastanawia się wcale nad tym, że jest posiadaczem największych tajemnic Rzeszy, które ci zasran Anglię wyszają z niego teraz z taką łatwością, jak flaszke berlińskiego jasnego piwa...

Kiedy — wspomina po latach Delmer — to przemówienie przesłuchiwałem raz jeszcze z płyt, najbardziej podobał mi się fragment poświęcony Churchillowi „gówniarzowi o płaskich stopach, staremu zapjazconemu Żydowi”. W całym Niemczech nikt nie mógłby chyba przypuszczać, że angielski propagandysta mógł użyć takiego poniżającego sformułowania w odniesieniu do umiłowanego premiera.

Czarna propaganda dozwala więc na wszystkie chwytliwy. Cel uświęca środki. Chodzi o uszalenie słuchacza, posianie w nim wątpliwości, o właściwe przemycenie w odpowiedniej oprawie takiego materiału, który ma działać destruktywnie na opinię społeczną kraju, z którym jest w stanie wojny.

Państwa zachodnie mają w tym względzie wiele doświadczeń. W zmienionych warunkach historycznych, w ideologicznej walce imperializmu z socjalizmem mogą się zmieniać metody propagandy, ale cel pozostanie ten sam. Politykę imperializmu wobec obozu socjalistycznego określa najlepiej taktyka „rozmiękania socjalizmu”, „budowania mostów” itd. Tezy KC PZPR na V Zjazd Partii mówią o tym wyraźnie... stratedyę imperialistyczną — nie rezygnując w zasadzie z dążeń do wywołania w określonych sytuacjach kontrrewolucyjnych gwałtów i zburzenia nawet o charakterze zbrojnym — położyli główny akcent na dywersję ideologiczną, dostosowaną w swej formie propagandowej do konkretnej sytuacji w każdym kraju socjalistycznym. Generalna linia ataku obliczona została przede wszystkim na

poderwanie ustroju socjalistycznego w poszczególnych krajach oraz na osłabienie i doprowadzenie do dezintegracji państw Układu Warszawskiego.

Rzecz oczywista, że głównym sprzymierzeńcem sil imperialistycznych stał się ostatnio rewizjonizm, który patriotyzmowi przeciwstawia nacjonalizm, a internacjonalizmowi proletariackiemu — kosmopolityzm. Rewizjonizm ma stanowić dogodny narzędzie rozkładania socjalizmu od wewnątrz. Wydarzenia czechosłowackie ujawniły to z całą jasnością.

W dniach sierpniowych monarchijska „Freies Europa”, posiadająca w Europie 28 stacji nadawczych, chwyciła wiatr w żagle. Ba — zaczęła ona nawet perfidnie występować w obronę... socjalizmu w Czechosłowacji, potępiając akcję podjętą przez pięć krajów Układu Warszawskiego. Spikerzy „Wolnej Europy”, pobierający pobory od amerykańskiego i zachodniemieckiego wywiadu, prześcigali się w szkalowaniu naszego kraju i naszego wojska. Żołnierze polscy według ich „sprawdzonych” informacji zamieniać w Czechosłowacji broń na pożywnie, aby nie głodować (!). Takie piramidalne bzdury mogą się wygłaszać tylko w głowach ludzi, którzy od 29 lat Polski nie widzieli, którzy — mimo że mówią po polsku — Polakami być przestali.

W sukurs „Wolnej Europie” przychodzi „Głos Ameryki”, zachodniobermberski RIAS, hiszpański „Madryt”, niemiecka „Kolonja”, „BBC”, „Paryż”. Na falach eteru sączy się jad mający określoną rolę do spełnienia.

To jest propaganda biała, która w przeciwieństwie do czarnej zakłada jednak oficjalność źródła i prawdziwe autorstwo. W dniach sierpniowych mogliśmy być świadkami i propagandy czarnej, która w zasadzie występuje w latach wojny a nie pokoju. O tej czarnej propagandzie pisał zachodniemiecki tygodnik „Stern”. Z dziwną szczerością stwierdził on, iż dla stacjonującego nad Renem batalionu 701, którego zadaniem jest prowadzenie wojny psychologicznej, powstały idealne warunki przeprowadzenia „ćwiczeń”. W sobotę i niedzielę, bezpośrednio po akcji pięciu państw Układu Warszawskiego, na falach wykorzystywanych normalnie przez radiostacje czechosłowackie zaczęło działać 12, a nawet więcej radiostacji. Zastanawiające jest — informuje „Stern” — że 10 spośród nich było słyszalnych na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej a tylko parę w Austrii...

W radiostacjach, oczywiście, brzmiał język czeski i słowacki. Jaki to jednak był w istocie język, o tym nawet „Stern” mówi niedwuznacznie.

Wojna psychologiczna trwa i trwać będzie nadal. Nie można jej przeceniać, ale i nie można lekceważyć. Kiedy jednak w eterze rozlega się głos: Tu mówi radio „Wolna Europa”, warto pamiętać, kto i co się za nim kryje.

u sąsiadów

„Gdy człowiek przechodzi na emeryturę”...

ARTYKULEM pt. „Gdy człowiek przechodzi na emeryturę” „Litteraturnaja Gazeta” zamieściła dyskusję na temat zatrudnienia emerytów. Autorzy artykułu, naukowcy, stwierdzają, że dzięki podniesieniu stopy życiowej ludności i sukcesom służby zdrowia liczba osób w wieku emerytalnym wzrasta z roku na rok. Ponad 11 proc. ludności ZSRR (w Estonii 30 proc.) ma już 60 lat i więcej. W 1970 r. będzie w ZSRR ok. 35 milionów emerytów, a w roku 2000 — 50 milionów. W tej sytuacji demograficznej powstaje palący problem zapewnienia ludzkości, którzy z tytułu wieku korzystają z emerytury, warunków pełnowartościowego życia, to są związane z pracą, „Stary ruch, trening, praca wszystkich organów ciała — pisała autorka artykułu — są niezbędne dla przedłużenia życia i dla utrzymania ręką i zdrowie starości. Dla długowieczności ludzkości w ZSRR potrzebny

jest ruch, nie zaś spokój... W ZSRR emeryt ma takie samo prawo do renty jak do własnych wkładów oszczędnościowych. Pracował on na emeryturę w ciągu całego swego życia i powinien ją otrzymać bez względu na to, czy pracuje w dalszym ciągu czy też nie”.

W dyskusji nad tym artykułem wzięł m. in. udział wiceprzewodniczący Państwowego Komitetu Wykorzystania Zasobów Sily Robotczej Lotewskiej SRR, G. Baltin. Informuje on, że w końcu ub. roku przeprowadzono w Rydze i w osmiu innych miastach Lotewskiej SRR ankietę wśród niepracujących emerytów. 36 proc. spośród ankietowanych wyraziło chęć podjęcia pracy. „Wielu twierdzi — pisał Baltin — że wszyscy emeryci, którzy mogą i pragną pracować, pracują, i że wobec tego dalsze zwiększenie zainteresowania materialnego nie da efektów. Moim zdaniem jest to nieluzne. W drugiej połowie 1967 r. powzięto uchwałę, która przewiduje, że poszczególne kategorie pracowników placówek medycznych i usługowych mogą otrzymywać pełną rentę bez względu na ich zarobek. W konsekwencji liczba zatrudnionych emerytów wśród wspomnianych kategorii pracowników wzrosła na Lotwie w ciągu pół roku o 28,5 proc.”.

Inny dyskutant, przedstawiciel Państwowego Komitetu Placy i Pracy przy Radzie Ministrów ZSRR, Solowiew, przytoczył kilka przykładów świadczących o wadach obowiązującego systemu emerytalnego. W wielu miejscowościach brak on lekarzy. Jeśli jednak lekarz zamierza objąć pracę na pół etatu, wówczas otrzymuje za nią maksymalnie 50 rubli, natomiast emerytura wypłaca mu się w 30 proc. W rezultacie zarabia on mniej niż traci. Problem można rozwiązać w ten sposób, że emerytura i zarobek łącznie nie powinny przewyższać uposażeń, które były podstawą wymiaru emerytury.

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kamenny” jest prenumerata

## Przed V Zjazdem PZPR

**N**IEZMIERNIE trudno jest porównywać zakres inwestycji w okresie międzywojennym i obecnie. W kapitalistycznej Polsce państwo inwestowało bardzo mało i to tylko w niektórych dziedzinach. Większość gospodarki znajdowała się w rękach prywatnych — osób, spółek, karteli — które oczywiście były zainteresowane nie rozwojem gospodarki narodowej, ale własnymi zyskami. Stąd nie zawsze, a jeżeli to tylko drobną część dochodów przeznaczano na inwestycje.

Przedwojenny rocznik statystyczny na temat inwestycji nie zamieszcza dosłownie żadnej informacji. Państwo nie posiadało na ten temat danych. Nie było też wielkich przedsiębiorstw budowlanych, stąd brak jakichkolwiek dokumentów z tamtych czasów. Pewne porównania można przeprowadzić tylko w budownictwie mieszkaniowym.

O tym, że Polska Ludowa prowadzi wszelkiego rodzaju inwestycje na coraz większą skalę nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Wystarczy spojrzeć wokół siebie. Niestety, także z pierwszych lat powojennych brak dokładniejszych danych. Wiadomo jednak, że w okresie planu trzyletniego (1947—49) niemal całkowicie odtworzyliśmy stan przedwojenny w gospodarce, w zasadzie zachowując także jej strukturę. Stanowiło to dobry start do wykonania następnych, coraz ambitniejszych zadań.

Taki wielki rozwój przyniósł już plan sześcioletni (1950—55). Nakłady inwestycyjne w tym okresie wyniosły w województwie lubelskim 11 638 mln zł. Wskutek zmiany wielu cen dzisiaj nie wydaje to tak imponujące, wtedy jednak były to sumy olbrzymie. Wysiłek inwestycyjny szedł w dwóch kierunkach: 1) budowa i rozbudowa przemysłu metalowego, co zapewniało szybkie zatrudnienie znacznych wtedy rezerw siły roboczej, 2) wykorzystanie miejscowego surowca. Do pierwszej grupy należały m. in. Fabryka Samochodów Ciężarowych, Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego, Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych, Zakłady Sprzętu Instalacyjnego w Poniatowej (dzisiaj „Eda”), do drugiej m. in. Zakłady Tuszczowe w Bodačowie, przetwórnia owocowo-warzywna w Milejowie, fabryka żelatyny w Puławach, zakłady mięsne i chłodnie składowe w Lublinie i Zamościu, dwie dalsze (obok malej przedwojennej) cementownie w Rejowcu, cegielnia w Horodyszczy. To, oczywiście, tylko przykłady — inwestycji było bardzo dużo.

Plan pięcioletni 1956—60 przyniósł nakłady w wysokości 13 695 mln zł — a więc 2 mld więcej na okres o rok krótszy. Charakteryzował się dalszą rozbudową fabryk już istniejących, a z nowych można dla przykładu przytoczyć największą w Polsce cementownię w Chełmie, wytwórnię betonów lekkich w Lubartowie, cegielnię silikatową w Kaniem i Jedlance.

Następna pięcioletka (1961—65) to 22 093 mln zł, a więc znów ogromne nasilenie inwestycji. Główne zadanie to nowe inwestycje — np. cukrownia w Werbkowicach, zakłady przemysłu dziewiarskiego w Trawninkach i Bilgoraju, rozpoczęcie budowy puławskich Azotów. Ostatnie dwa lata to ponad 13,2 mld zł — razem w latach 1950—67 fantastyczna niemal suma 60 998 mln zł! O ile w 1950 r. wartość nakładów inwestycyjnych na jednego mieszkańca wyniosła 766 zł, to w ubiegłym już 3897 zł. Przez cały ten czas udział województwa w inwestycjach całego kraju wahał się w granicach 3,3—4,4 proc., a wzrost następował prawie zawsze szybciej niż w pozostałej części Polski. W ten sposób systematycznie nie tylko odrabialiśmy międzywojenne zaległości, ale zrobiliśmy znacznie więcej, niż wtedy mogli przypuszczać najwięksi fantasiści.

Nakłady inwestycyjne nie są równoznaczne z wartością robót budowlano-montażowych, gdyż do tych pierwszych zalicza się m. in. wartość maszyn i urządzeń, środki transportu itd. Inwestycje są tym bardziej efektywne, im mniej pieniędzy kładzie się w mur, a im więcej w maszyn. Mamy tu duże osiągnięcia, chociaż do ideału jeszcze daleko. W 1957 r. roboty budowlane stanowiły 70,7 proc. nakładów, a w 1967 r. już tylko 57,9 proc., a spadek był systematyczny.

Jeżeli chodzi o budownictwo mieszkaniowe to na str. 63 rocznika statystycznego z 1939 r. można przeczytać, że w 1937 r. rozpoczęto w Lublinie budowę 136 budynków mieszkalnych, zawierających razem 1 219 izb. Przypuścimy, że wszystkie oddano do użytku w roku następnym. Tymczasem w 1967 r. w tym samym Lublinie przekazano do użytku 6 203 izb, a więc przeszło 5 razy więcej.

Ale przecież nie sam Lublin decydował czy decyduje o wynikach całego województwa. Niestety, wspomniany rocznik nie podaje żadnych danych dotyczących województwa. Ale spróbujmy nieco więcej niż poprzednio. Można się tam dowiedzieć, że w 1938 r. w całej ówczesnej Polsce oddano do użytku 62 245 izb mieszkalnych. Niby dużo — ale jak wygląda porównanie? W 1968 r. tylko w naszym województwie wybudowano w ramach gospodarki uspołecznionej 15 853 izby, a w nieuspołecznionej (chodzi tu głównie o wieś) 15 272. Razem w naszym jednym województwie 31 125 izb, a więc równo 50 proc. tego, co przed 30 laty w całym kraju!

W wykonawstwie przedwojennym działały tylko małe prywatne firmy, niezdolne w ogóle do prowadzenia większych inwestycji. Kiedy za pożyczkę francuską rozpoczynano w Kraśniku budowę fabryki amunicji (dziś KFWM produkująca łożyska), sprowadzano firmy warszawskie — a przecież na dzisiejsze czasy byłaby to budowa raczej drobna. Obecnie potentatem jest Lubelskie Zjednoczenie Budownictwa, a kilkanaście podległych mu przedsiębiorstw wykonuje rocznie roboty wartości półtora miliarda złotych. Każde miasto powiatowe ma własne przedsiębiorstwo, niektóre po dwa. Istnieje osobne Zjednoczenie Budownictwa Rolniczego oraz szereg przedsiębiorstw specjalistycznych. Specjalistów od skomplikowanych instalacji przed wojną mogliśmy u nas liczyć na palcach. Dziś jest ich kilka tysięcy, wszyscy zdobyli wykształcenie i praktykę w Polsce Ludowej.

Nie ja jeden pamiętam, że jeszcze tuż po wojnie na budowach cegły noszono na plecach przy pomocy tzw. kóz, zaprawę murarską mieszano łopatą, podobną łopatą robiono wykopy, materiałem ściennym była cegła albo drewno. Dziś na każdym kilku robotników pracuje jeden silnik, wszędzie transport jest zmechanizowany, zaprawę przygotowują betoniarki, wykopy drażą koparki, wyrównują ziemię sypcharki, całe ściany pokoiów to jedna prefabrykowana mechanicznie płyta.

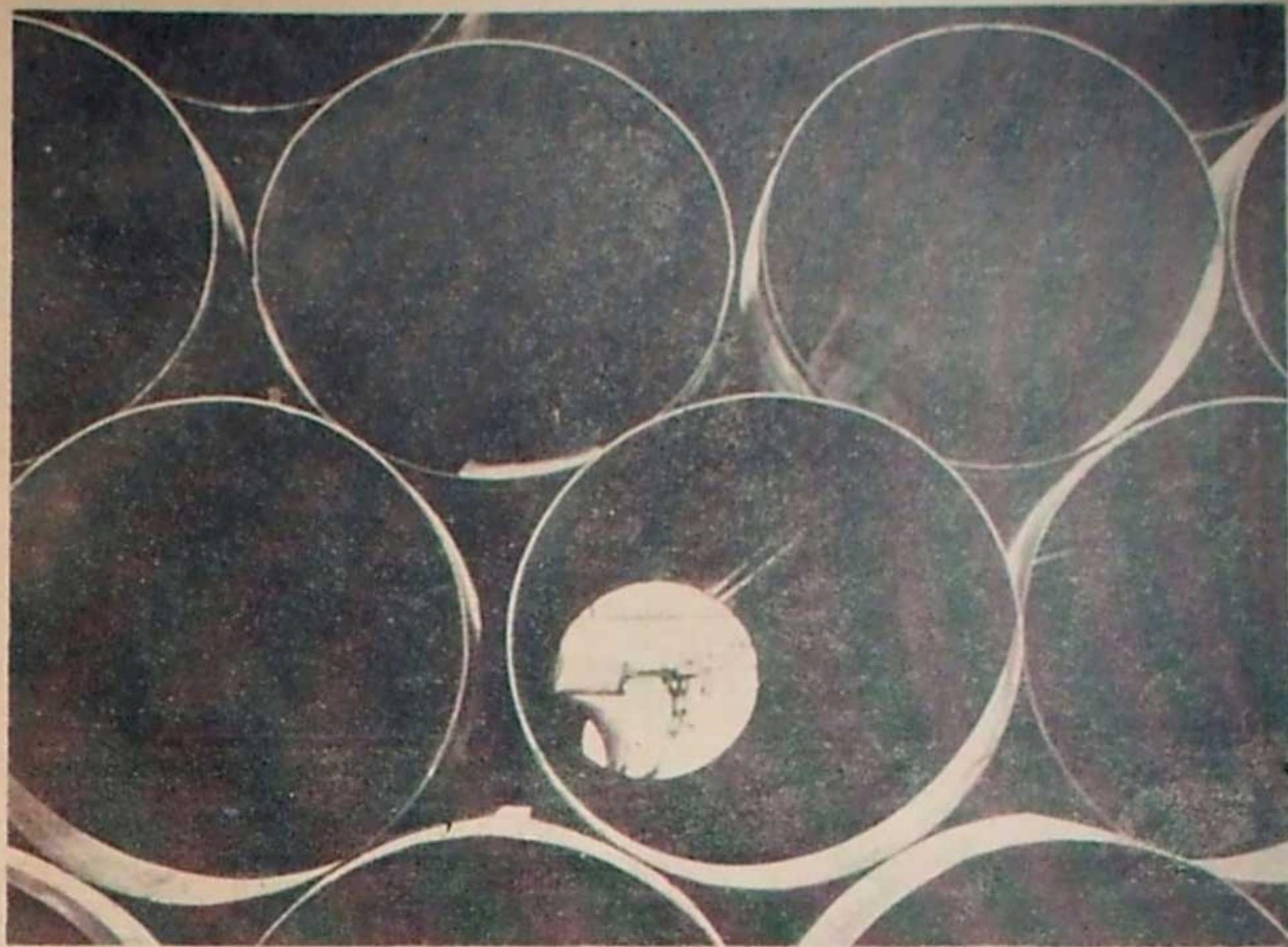
I nie o sam tylko postęp techniczny tu chodzi. Człowiek musi pracować, ale już każdą ciężką, a także część lżejszych robót, wykonują za niego maszyny. Nie murarz, a montażysta jest dziś główną osobą przy budowie bloków mieszkalnych. W miastach wszystkie, które powstają, otrzymują światło elektryczne, wodociąg, kanalizację, centralne ogrzewanie, coraz częściej gorącą wodę i gaz.

Jedną z mało dostrzeganych w miastach form budownictwa jest elektryfikacja rolnictwa. W chwili wybuchu wojny zaledwie w 45 wsiach część rolników mogła korzystać z elektryczności, dostarczanej bardzo nieregularnie przez małe, prymitywne elektrownie prywatne przy młynach czy tartakach. Elektryfikację na szerszą skalę podjęto w 1951 r. i do dzisiaj zelektryfikowano 2 089 wsi, a w nich 156,5 tys. gospodarstw wiejskich. Dla ilustracji: wymagało to zainstalowania 16 tys. km linii przesyłowych oraz 3 282 stacji transformatorów.

Malutka cementownia w Rejowcu dostarczała w okresie międzywojennym najwyższe 90 tys. ton cementu rocznie. Najpierw obok niej zbudowaliśmy dwie nowe, potem największą w Polsce cementownię otrzymał Chełm, teraz w tym mieście buduje się jeszcze większa, która będzie kosztowała prawie półtora miliarda złotych. Ale jeszcze bez niej pozostałe wyprodukowały w roku ub. 1 886 tys. ton cementu w kilku gatunkach, w tym niektóre o najwyższych światowych markach.

Długo jeszcze można by porównywać. Te przykłady jednak chyba wystarczą do pokazania olbrzymich, zasadniczych różnic.

Jerzy Dostatni



W puławskich Azotach

Fot. Zbigniew Zugał

## Dyskusja nad Tezami

## I muzea uczą patriotyzmu

Antoni Kunysz

**O**STATNIE miesiące w naszym kraju przyniosły falę dyskusji wokół problemów ideowego i patriotycznego wychowania młodego pokolenia. Wiele uwagi temu zagadnieniu poświęcają nie tylko wybitni politycy, lecz również uczeni, działacze kultury. Problem był szeroko dyskutowany na XII Plenum KC PZPR, sporo miejsca poświęcają mu tezy na V Zjazd PZPR. Jako pracownik muzealny chciałem podnieść rolę placówki muzealnej w patriotycznym i ideowym wychowaniu społeczeństwa, a szczególnie młodzieży. Sądzę, że głos mój można związać z dyskusją, jaka toczy się wokół Tez przed V Zjazdem.

Rola i zadania muzealnictwa w ostatnim półwieczu uległy poważnym przeobrażeniom. Muzealnictwo w Polsce Ludowej rozwinęło się do poważnych rozmiarów: na koniec listopada 1966 mieliśmy łącznie 350 placówek podległych Ministerstwu Kultury i Sztuki oraz innym resortom. Prawie każde większe miasto powiatowe posiada dzisiaj własną placówkę — muzeum regionalne. Muzealnictwo polskie z dużym rozmachem realizuje hasło „Muzea uniwersytetami kultury”.

Rola współczesnego muzeum jest olbrzymia: obok gromadzenia, konserwowania eksponatów placówki te prowadzą szeroką działalność popularyzacyjną. Powszechnym zjawiskiem jest podejmowanie przez wiele muzeów regionalnych, zwłaszcza w miejscowościach pozbawionych innych ośrodków naukowych, badań nad regionem z dziedziny historii, archeologii, etnografii. Wokół muzeów skupiła się poważna liczba badaczy regionalnych. W placówkach muzealnych w wielu wypadkach znalazły swoje miejsce regionalne towarzystwa naukowe i społeczno-kulturalne. Szerokę rolę muzeów podjęło akcje wydawniczą, ogłaszając na łamach roczników i różnych wydawnictw prace związane z przeszłością regionu od czasów najdawniejszych po współczesne.

Nasze muzealnictwo rokrocznie eksponuje olbrzymią liczbę wystaw

stałych, czasowych, objazdowych. Np. w roku 1966 zorganizowały tylko muzea podległe Ministerstwu Kultury i Sztuki — 1586 wystaw różnych typów. Zwiedziło je ogółem 13 439 000 osób. Był to rok szczególny dla naszego muzealnictwa, przypadło bowiem w tym czasie zakończenie obchodów Milenium oraz obrady Kongresu Kultury Polskiej, w związku z czym wzrosło zainteresowanie społeczeństwa historią i zabytkami naszego kraju. Trzeba dodać, że obok wystaw muzea przygotowały łącznie 11 687 odczytów dla 645 984 słuchaczy. Zorganizowano ogółem 14 517 seansów filmowych, które obejrzało 891 966 osób. Przygotowano 171 koncertów dla 42 192 miłośników muzyki i wiele innych imprez.

Trzeba silnie podkreślić, że nasze muzealnictwo w swojej działalności podejmowało na szeroką skalę problematykę zaangażowaną, poświęcając wiele miejsca tematyce historycznej. Spośród np. 84 wystaw w r. 1964 o tematyce historycznej: 20 poświęcono XX rocznicy PRL, 5 — historii ruchów rewolucyjnych, 10 — martyrologii narodu polskiego w czasie II wojny światowej. Zwiedzający na wystawach historycznych zapoznawali się nie tylko z przeszłością i teraźniejszością kraju czy regionu, lecz również uczyli się poznawać i kochać ojczyznę. W ten sposób muzealnictwo przyczyniło się do kształtowania zdrowo pojętego patriotyzmu.

Przytoczone fakty i dane dowodzą, że muzealnictwo wkroczyło na właściwą drogę rozwoju. Niemniej jednak trzeba stwierdzić, że placówki muzealne mają jeszcze wiele do zrobienia. Szczególnie w chwili obecnej, w przeddzień V Zjazdu Partii, pracownicy muzealni powinni przedyskutować, jakie zadania i problemy stoją przed polskim muzealnictwem w najbliższych latach, w jubileuszowym roku 1969 — XXV rocznicy powstania Polski Ludowej. Co powinniśmy uczynić, by w najbliższych latach zwiększyć oddziaływanie na społeczeństwo polskie w dziedzinie ideowego i patriotycznego zaangażowania w budowę socjalizmu w naszym kraju.

Sądzę, że rok 1969 powinien być dla muzealnictwa polskiego okresem wzmoczonego oddziaływania ideologicznego poprzez: wystawy, akcje odczytów, projekcje filmów ukazujących drogę przebyłą w ostatnim ćwierćwieczu. Należy nasilić akcję wydawniczą w postaci popularnych przewodników, folderów, okolicznościowych plakatów ukazujących rozwój różnych dziedzin kultury polskiej na przestrzeni ostatniego tysiąclecia. Naturalnie szczególnie powinniśmy podkreślić w wydawnictwach wkład ludowego państwa w rozwój kultury i ochronę zabytków. Muzea polskie muszą być inicjatorami szerszej działalności różnego rodzaju towarzystw naukowych i kulturalnych, popierać ruch społeczno-kulturalny.

Należy podnieść rangę badań naukowych przeprowadzanych przez muzea, które są niejednokrotnie poważnym źródłem wzbogacenia zbiorów, a równocześnie dokumentują wiele przejawów kulturowych.

Większą uwagę nasze muzealnictwo powinno poświęcić wiejskim izmom pamiątek, czy różnego rodzaju miniatury muzeom, które masowo od dwóch lat zaczęły się rozwijać w naszym kraju. Placówki te posiadają poważne znaczenie wychowawcze i kulturotwórcze we wsiach i małych miasteczkach. Wokół gromadzenia eksponatów kultury ludowej, dokumentów historycznych, zabytków archeologicznych czy innych możemy skupić ofiarną grupkę młodzieży zrzeszonej w ZHP, ZMS czy ZMW. Dotychczasowa obserwacja wykazuje, że do prac organizacyjnych przy tych placówkach chętnie włączają się nauczyciele, działacze kultury, przedstawiciele władz lokalnych i organizacji społeczno-politycznych.

W artykule podniosłem tylko niektóre momenty związane z funkcją muzeów jako placówek spełniających ważną rolę ideowego i patriotycznego oddziaływania. Szerzej na te tematy wypowiedzą się muzealnicy z całego kraju na Ogólnopolskiej Konferencji Muzeów na temat „Muzea regionalne ośrodkiem patriotycznego wychowania”, jaka odbędzie się w dniach 17—19 października br. w Przemyślu.

W najbliższym czasie zamierza zorganizować seminaria dla nauczycieli poświęcone omówieniu bohaterskich tradycji regionu lubelskiego w walce z okupantem, a ośrodki szkolenia partyjnego — seminaria poświęcone dziejom KPP i zjednoczeniu ruchu robotniczego. Tematy te zawierają wiele głębokich treści politycznych a także emocjonalnych.

W patriotycznych i postępowych dziejach narodu znajduje się bowiem bezcenny kruszec dla kształtowania właściwego światopoglądu młodego pokolenia Polski Ludowej dla teraźniejszości i dla przyszłości.

Zygmunt Mańkowski

## Beczenny kruszec

Dokończenie ze str. 1

jąc na to, przy mocno napiętych planach, możliwie odpowiedni czas lekcyjny. Powinny on być maksymalnie wykorzystany w sposób racjonalny i zdyscyplinowany. Należy obecnie zrobić wszystko, by program tych zajęć uniknął powierzchowności, zdawkowości, „wszystkoizmu” i schematyzmu. Trzeba go przesycić żarliwością i zaangażowaniem, wypełnić właściwym dohorem treści i właściwymi środkami przekazu (audiowizualnymi,

dyskusyjnymi itp.), a przede wszystkim nadać mu odpowiednią rangę w zespole innych zajęć. Wiąże się z tym odpowiedni dobór kadr oraz proces ich systematycznego i bieżącego dokształcania. Pomoc w tym wydatnie mogą ośrodki szkolenia przy kuratoriach, WUML (ostatnio liczba ich w województwie znacznie się powiększyła), komisje historyczne ZBoWiD, seminaria metodyczne na uniwersytecie itp. Przykładem godnym naśladowania jest inicjatywa Komisji Historycznej przy ZO ZBoWiD w Lublinie, któ-

Kamena str. 3

# Nowy etap badań nad przestępczością

**NASZE  
DYSKUSJE**

**J**UŻ do tradycji „Kamień” należy organizowanie dyskusji na aktualne tematy społeczne, gospodarcze, kulturalne. Tym razem postanowiliśmy zwrócić uwagę na nowy etap badań nad przestępczością. Ów nowy etap zapoczątkowała Ustawa o Prokuraturze PRL z dnia 14 kwietnia ub. r. podnosząca działalność badawczą do rangi ustawowych zadań Prokuratury. W związku z tym utworzono w Prokuraturze Generalnej Biuro Studiów Problematyki Przestępczości, a w ośmiu terenowych prokuraturach wojewódzkich, które mają swoje siedziby w miastach uniwersyteckich — ośrodki badań problematyki przestępczości. Ośrodek lubelski obejmuje swoim zasięgiem również woj. białostockie.

Do dyskusji zaprosiliśmy: wiceprokuratora wojewódzkiego, dr JERZEGO BLAIMA, pierwszego zastępcę komendanta wojewódzkiego do służby milicji, płk mgr CZESŁAWA GADERA, prokuratora wojewódzkiego, p. stał STANISŁAWA KOSTKĘ, kierownika Wydziału Administracyjnego KW PZPR, JANA MAZURKA, wiceprokuratora wojewódzkiego, mgr STANISŁAWA MITURSKIEGO, wiceprezesa Sądu Wojewódzkiego, mgr LUDWIKA PRZYSZŁAKA, oraz dziekana Wydziału Prawa UMCS, prof. dr TADEUSZA TARASA (wszyscy z Lublina). Z ramienia redakcji w dyskusji uczestniczył red. nac. „Kamień”, mgr MAREK A. JAWORSKI. A oto autoryzowana relacja z tego spotkania

**M. A. JAWORSKI:** Miło mi spotkać się z panami. Redakcja „Kamień” nie po raz pierwszy organizuje dyskusje z udziałem prawników. Dzisiejsza dyskusja tym różni się od innych, że jej problematyka nie jest znana szerszemu ogółowi. Z artykułu, jaki ukazał się na łamach „Sztandaru Ludu” w dniu 12 sierpnia, mogliśmy poznać podstawowe założenia nowego etapu badań nad przestępczością. Stałe pogłębianie się procesów doskonalenia działalności ludzkiej wymaga ściślejszego powiązania teorii z praktyką. Tezy na V Zjazd PZPR wskazują, że „rozwoj budownictwa socjalistycznego w Polsce wymaga dalszego zwiększenia roli nauki w życiu kraju, umocnienia w wybranych dziedzinach szybkiego rozwoju placówek badawczych oraz podniesienia efektywności ich działania”. Taką placówką w odniesieniu do waszej odpowiedzialnej pracy jest właśnie

**ST. KOSTKA:** Słusznie prokurator Miturski podkreślił, że zagadnienie nie jest nowe. I dawniej Prokuratura Generalna wraz z prokuraturami wojewódzkimi podejmowała różne badania. Opracowania posłużyły do działalności praktycznej w zakresie ścigania, karaniami jak i najszerzej pojętej pracy profilaktycznej. Novum — o tym wyraźnie mówi Ustawa o Prokuraturze PRL z dnia 15 kwietnia 1967 r. — polega na ustawowym uregulowaniu zagadnienia. Art. 3 ust. 1 Ustawy wyraźnie precyzuje, że jednym z obowiązków Prokuratury jest „prowadzenie badań w zakresie problematyki przestępczości”. Sporo jest tematów, które warto wziąć na warsztat. Choćby taki, jak przyczyny przestępstw wśród nieletnich, czynniki motywacyjne kierujące sprawcami zagarnięcia mienia społecznego znacznej wartości, przedmiot i charakterystyka przestępstw o charakterze chuligańskim itd. itp. Samo życie wska-

zuwało, że konieczne są tu szersze opracowania. Chodzi nie tylko o badanie samych zjawisk, ale o wyciąganie konkretnych wniosków mających na celu dalsze usprawnienie walki z przestępczością. Są okresy, kiedy obserwujemy wzrost pewnej kategorii przestępstw, np. chuligaństwa. Jakże są tego przyczyny, jakie czynniki wpływają na dynamikę przestępstw, na ich wzrost lub spadek?

dencja do związania ośrodków z nauką, zapewnienia im zaplecza naukowego. Jak to wygląda w Lublinie?

**ST. KOSTKA:** — Tu należy powiedzieć o instytucji stałych konsultantów działających w ośrodkach. Jak wiadomo, każdy ośrodek swojego konsultanta posiada. U nas jest nim dziekan Wydziału Prawa UMCS, prof. dr Tadeusz Taras.

**T. TARAS:** Celem naszego spotkania jest to, że wszyscy powinniśmy z niego wynieść korzyści. Korzyścią jedną będzie zapewne poinformowanie społeczeństwa za pośrednictwem „Kamienia” o naszych zamierzeniach. Z drugiej strony i my powinniśmy wymienić poglądy na temat tego, czy, do brze rozpoczynamy pracę, czy robimy błędy, czym należałoby się zająć w najbliższej przyszłości. Badanie przestępczości jest zadaniem szalenie trudnym, temat był przecież podejmowany od wieków. Można by powiedzieć, że jest to zadanie nie do zrealizowania! Próbować jednak trzeba, zawsze pewne wyniki uda nam się uzyskać. Pracy nie można planować na dni, tygodnie, ale na lata. Sądzę, że sprawą istotną jest tu koordynacja. Nasze ośrodki przy prokuraturach nie są jedynymi. Podobne działają przy Ministerstwie Sprawiedliwości, przy Polskiej Akademii Nauk i Sądzie Najwyższym. Rzecz w tym, żeby stworzyć jeden ośrodek dyspozycyjny celem uniknięcia dublowania tematów. Wyobrażam sobie, że ten ośro-

na naradach partyjnych, podejmujemy szereg środków zaradczych. Ale podkreślam to, o czym już wspominał prof. Taras: koordynację badań, konieczność powstania jednego ośrodka dyspozycyjnego.

**J. MAZUREK:** Funkcja zarówno Prokuratury, Sądu jak i Milicji Obywatelskiej jest prawnie określona. Te placówki mają konkretne zadania do wykonania i — trzeba przyznać — wykonują je coraz lepiej. Owszem, Prokuratura obok funkcji represyjnej sprawuje funkcję profilaktyczno-wychowawczą, ale ową funkcję powinno również sprawować całe społeczeństwo, organizacje polityczne, społeczne, młodzieżowe, rady narodowe. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Aby społeczeństwo mogło trafnie sprawować funkcję wychowawczą, powinno znać genezę powstawania zjawisk przestępczych. Sądzę, że warto tu szerzej korzystać z doświadczeń radzieckich. Oto np. robotnik dopuszcza się czynu przestępczego w swoim zakładzie pracy. Robotnicy, towarzysząc mu na co dzień, dobrze go znają. Ten, kto podejmuje czynności wstępne, radzi się zalogi, pyta, czy trzeba go karać, czy można mu zaufać. W wielu wypadkach robotnicy mówią: „Można zaufać. My za niego ręczymy”. Wówczas biorą za niego odpowiedzialność, biorą odpowiedzialność za to, że nie popełni on już powtórnie przestępstwa. To jest ważny środek wychowawczy. Ze statystyk wynika, że przy instytucji poręczycielstwa liczba ludzi, którzy trafiają do więzienia, spada



Jerzy Blaim

Czesław Gader

Stanisław Kostka

Jan Mazurek

Stanisław Miturski

Ludwik Przystałak

Tadeusz Taras

powstałe w Prokuraturze Generalnej Biuro Studiów Problematyki Przestępczości działające w ścisłym powiązaniu z terenowymi ośrodkami badań. Ponieważ rzecz sama w sobie jest nowa, warto poświęcić jej nieco uwagi.

**ST. MITURSKI:** Trudno mówić o prawidłowości życia bez naukowego myślenia, naukowego działania. Warto tu przypomnieć, że badanie zagadnień związanych z przestępczością nie jest jednak rzeczą zupełnie nową. Już przed kilkoma laty powstał w Prokuraturze Generalnej Samodzielny Wydział Badań Problematyki Przestępczości, a w prokuraturach wojewódzkich — samodzielnie stanowiąca badawcze. Niemniej do chwili wejścia w życie nowej ustawy o Prokuraturze prace badawcze miały charakter drugoplanowy, nie należały do ustawowych zadań Prokuratury. Teraz to się zmieniło. Nasze badania mają dotyczyć stanu i przyczyn przestępczości oraz sposobów ich zwalczania. Mówiąc szczegółowo w grę wchodzi trzy podstawowe kierunki badań: kryminologiczne — a więc analiza przestępstwa jako zjawiska społecznego zarówno od strony przedmiotowej jak i podmiotowej; badania prawa w działaniu, czyli konfrontacja normy prawnej, karno-materiałowej i karno-procesowej z życiem i wreszcie — badania działalności samej Prokuratury i innych organów ścigania, wymiaru sprawiedliwości. My wzięliśmy na warsztat naszej działalności taki problem jak „czynniki wpływające na czas trwania postępowania przygotowawczego i procesowego”, później zajmujemy się „polityką karną sądów i prokuratur w stosunku do sprawców przestępstw przeciwko zdrowiu”.

zywało, że konieczne są tu szersze opracowania. Chodzi nie tylko o badanie samych zjawisk, ale o wyciąganie konkretnych wniosków mających na celu dalsze usprawnienie walki z przestępczością. Są okresy, kiedy obserwujemy wzrost pewnej kategorii przestępstw, np. chuligaństwa. Jakże są tego przyczyny, jakie czynniki wpływają na dynamikę przestępstw, na ich wzrost lub spadek?

**CZ. GADER:** Problematyka, którą omawiamy, jest niezmiernie ważna. Musimy wiedzieć, jakie przyczyny powodują zjawiska określonych przestępstw. Nie można być zadowolonym z dotychczasowych badań. Weźmy np. poruszone przez prokuratora Kostkę problem przestępstw wśród nieletnich. Różne ośrodki, różni ludzie, a są wśród nich i amatorzy, próbowali już przeprowadzać pewne badania, ale to były badania nieskoordynowane. A my od trzech lat obserwujemy wyraźny wzrost przestępstw popełnianych przez ludzi młodych. Tak się dzieje nie tylko w naszym województwie. Można mówić o pewnej prawidłowości, a właściwie nieprawidłowości krajowej. Jakże to są przestępstwa? Dominują włamania. Np. włamania do lubelskiego PDT nie powstydziłoby się żaden fachowiec. A tymi fachowcami byli nieletni! W pow. biłgorajskim zanotowaliśmy włamanie do jednej z gospód. Pierwsze wrażenie, jakie odnieśliśmy, to takie, że przestępcy znali swój „fach”. A owi „fachowcy” mieli po lat czterdzieści. Co wpłynęło, że wkradli się oni na niebezpieczną ścieżkę? Warto podkreślić, że wśród młodocianych przestępców są i dzieci dobrze sytuowanych rodziców. Młody człowiek kradnie aparat fotograficzny, a potem ojciec

od wykroceń. I tu nie wolno więc być pobłażliwym. Można mnożyć przykłady, propozycje. Chociażby problem: alkohol a przestępstwo. Nie przesadzę, ale około 80 proc. rozbojów powstaje na tle wypicia nadmiernej ilości wódki. Walka z przestępstwem musi zaczynać się od walki z przyczynami przestępstwa. Stąd właśnie upatruję wielką wagę badań, do których przystępujemy.

**J. BLAIM:** Mamy już pewne własne doświadczenie w skali krajowej, ale i szerzej możemy korzystać z doświadczeń naszych przyjaciół, zwłaszcza z doświadczeń ZSRR, gdzie problematyka przestępstw zajmuje się specjalny Instytut naukowy. Chcę zwrócić uwagę na zagadnienie teorii i praktyki. Trudno nam jeszcze mówić o naukowej organizacji pracy. Nasze wydziały prawa na uniwersytetach kształcą studentów, ale badania naukowe w pracowniach są ciągle dalekie od realnych potrzeb praktyki. Właśnie problem koordynacji badań, a więc tego, co robia, a właściwie co robić powinny, bo jest to społecznie potrzebne, nasze uczelnie i my — praktycy, będzie właściwie postawiony dzięki utworzeniu ośrodków badawczych. Sądę, że w perspektywie i u nas powstanie instytut naukowy. Biuro Studiów można traktować jako jego załóżkę, bo od czegoś przecież trzeba zacząć.

**M. A. JAWORSKI:** W „Prawie i Życiu” znalazłem interesujący artykuł Jerzego Smoleńskiego traktujący o sprawach, które są przedmiotem naszego dzisiejszego spotkania. Mówiliśmy o modelu działalności badawczej, o pragnieniu maksymalnego zbliżenia badań do terenowej praktyki walki z przestępczością. Bardzo istotną jest ten-

kiem dyspozycyjnym powinna być Generalna Prokuratura. Uważam również, że tu jest wielkie pole do popisu nie tylko dla prawnika, ale i dla socjologa, psychologa. Przy Biurze Studiów funkcjonuje Rada Konsultacyjna, może by warto i przy ośrodkach powołać jakieś szersze ciało doradcze. Wybór tematów powinien być ustalony z punktu widzenia potrzeb praktyki.

**L. PRZYSZŁAK:** Ośrodki badania przestępczości są potrzebne, to jest rzecz poza wszelką dyskusją. Chyba najsluszniej, że Biuro powstało przy Generalnej Prokuraturze, a ośrodki przy wojewódzkich prokuraturach...

**ST. KOSTKA:** Właśnie, funkcje Prokuratury zmieniają się. W państwach kapitalistycznych prokuratura tylko ściga i oskarża, w państwach socjalistycznych zakres jej pracy jest daleko większy: bada ona problematykę przestępczości, koordynuje walkę z przestępczością, działa w ramach prokurator-skiej kontroli przestrzegania prawa, popiera oskarżenie przed sądami oraz prowadzi nadzór śledztwa i dochodzenia.

**L. PRZYSZŁAK:** Zgadząmy się. Dodam, że nie prawo tworzy życie, ale życie tworzy prawo. Są pewne kategorie przestępstw, stanowiące problem, którym trzeba zająć się w pierwszej kolejności; np. przestępstwa przeciwko mieniu społecznemu, afery gospodarcze, albo przestępstwa o charakterze chuligańskim. Kolejność — to jest rzecz do dyskusji. Poszczególne ośrodki przedstawiły już plany najbliższych zamierzeń. Doświadczenia będzie się wymieniać. Sądzi, wydając wyrok, zwykle nie zastanawia się, jakie jest źródło przestępstwa. Do źródeł sięgamy

o 40 proc. Funkcja ośrodków, które są tematem naszego spotkania, polega również na tym, że przeprowadzane badania powinny stanowić podstawę do opracowania pewnych aktów prawnych.

**ST. KOSTKA:** Zbliżamy się do końca naszej dyskusji. Chciałbym jeszcze mocno podkreślić, że na stworzenia ośrodków wpływa nie wzrost przestępstw, ale konkretna potrzeba naukowego opracowania problematyki przestępczości. Można żałować, że nie powstały one wcześniej, ale lepiej późno niż wcale...

**CZ. GADER:** — Właśnie — badajmy przyczyny powstawania określonych przestępstw, bo ciągle będziemy walczyć z wiatrakami. W związku z tym, o czym mówiliśmy, mam konkretny wniosek, aby przy ośrodku powstało ciało społeczne, złożone z prawników, socjologów, psychologów, pedagogów, przedstawicieli organizacji politycznych, społecznych, młodzieżowych. Ta grupa ludzi mogłaby się zebrać od czasu do czasu, przedyskutować poszczególne zagadnienia, wziąć na siebie pewne czynności do wykonania. Interes jest przecież ogólnospołeczny.

**M. A. JAWORSKI:** Dziękuję bardzo za dzisiejszą, myślę, że bardzo owocną, dyskusję. Jestem przekonany, że będą wyrazicielem kolegium redakcyjnego „Kamień”, jeśli zaproszę panów do współpracy w redagowaniu naszego pisma. „Kamena” ma w swoim podtytuł napis „dwutygodnik społeczno-kulturalny”. Wiele problemów, o których tu wspomniano niejako na marginesie, zasługuje na szersze potraktowanie. Nasze łamy zawsze stoją otworem.

Notował: MAJ

Stanisław Ilków

**Debiut**

## Powrót z lasu

późną porą ptaki rozwiane na wietrze w powietrzu poszarpanym jak szum lasu nagłym gdzie parami na przestrzał stoją martwe drzewa w tym lesie rzeczywistym aż do bólu kogoś tu brakuje w jesiennym krajobrazie — wydeptana ścieżka jest jedynym śladem

wo każdy czas coś dojrzeła ptaki wrócić wczesną wiosną tutaj

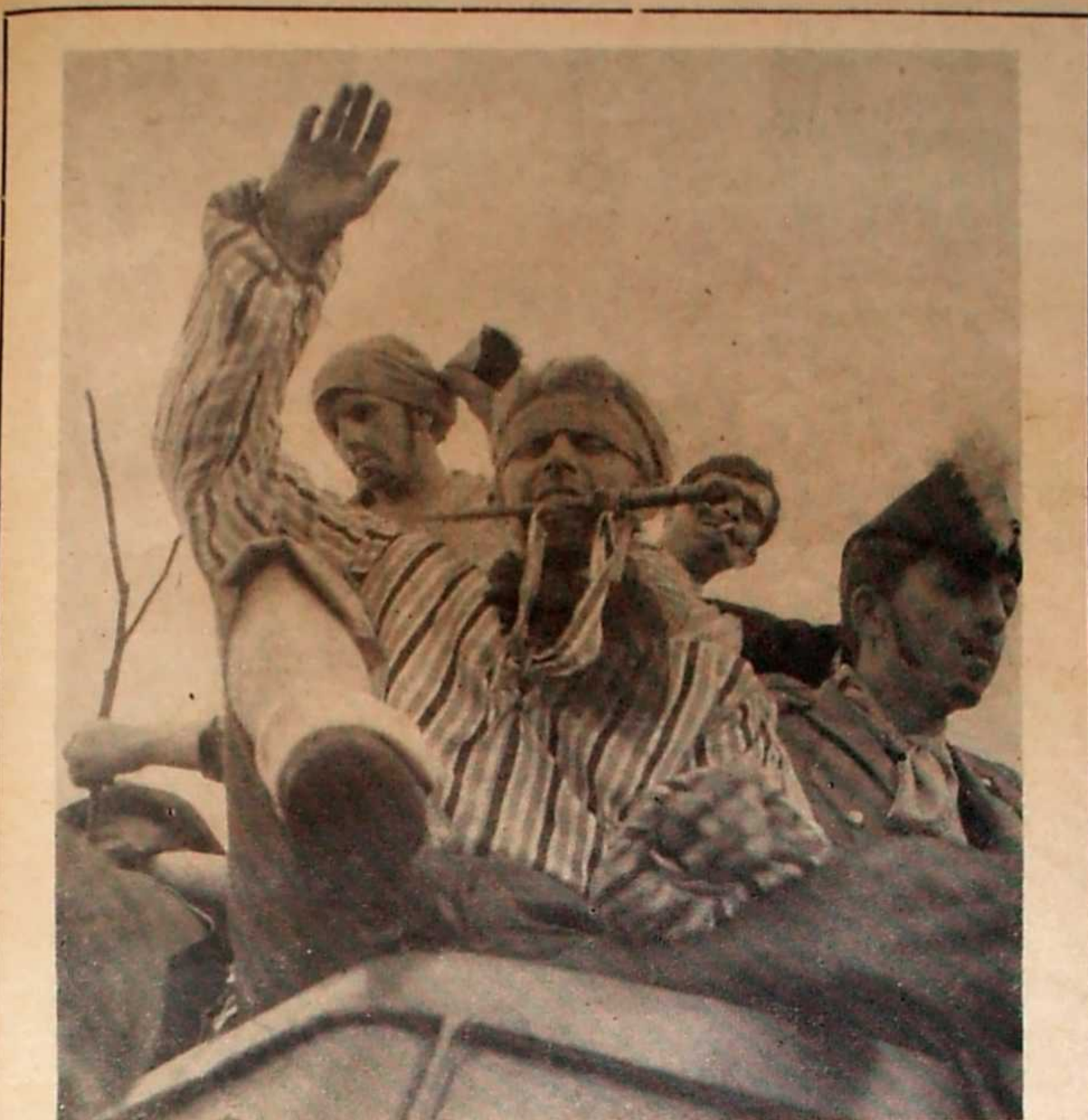
jestem w domu bo widzę cię szafo korzenna słojuwa szafo słuchaj twoim liściem wiatr mi twarz wychłostał w lesie żywoq czerpiesz soki z gładkiej politurę drzewne soki pełne tamtej obecności słuchaj szafo domowa — pójdę leśnym śladem zapamiętam siebie.

Józef Henryk Wiśniewski

## Pasja wokół koła

Za krzakiem ognistym dymu obłok a w obłoku a w obłoku bóg — kół kołodziej kolo prostuje

kuje kół — koł — koło kolo — dziej dzieje kuje kolo do — oko — la oko — li — cy do o obłe — go błędu — obłęd...



Fot. Andrzej Polakowski

Proszę... nie do tańca

# Czy student lubi Brahmsa?

Ireneusz J. Kamiński

**T**RUDNO scharakteryzować jednego człowieka, a cóż dopiero wielotyśną zbiorowość! Czynniki to jednak często i chętnie, jakby powołani lekkiem przed tym, co nieokreślone. Wydaje nam się, że wystarczy rzecz nazwać, aby ją poznać, a tym samym obezwładnić, czy choćby oswoić. Najczęściej uogólniamy na podstawie zjawisk wyrazistych, lecz niekoniecznie istotnych. I tak kwitną prywatnie i narodowe grządki mitów i stereotypów. W Lublinie szczególnie upodobaniem mitotwórców cieszy się środowisko studenckie. Pisze się i mówi o nim w najwyższej — świątecznej — i najniższej — poniedziałkowej — tonacji. Zależnie od okoliczności. Nie chciałbym wylamywać się z tej tradycji okazjonalnego widzenia i, jako że rok akademicki na progu trochę refleksji nad kilkoma faktami i zjawiskami związanymi z działalnością kulturalną wśród studentów i nad ich stosunkiem do twórczości artystycznej. Miejscami — konfrontacja obiegowych opinii z rzeczywistością. W sumie: prywatne racje uwagi, których publikację uzasadnia nadzieja, że pewnych istotnych spraw jednak tykają.

Mówi się: studenci lubelscy są mało kulturalni i nieokrzesani. Opinię taką kolportują m. in. lokatorzy domów w okolicach „Fafika” i „Tip-Topu”, w napięciu oczekujący rozpoczęcia roku akademickiego; znów zaczyna się nocne wrzaski pod oknami. Babcia ustępowa w Ogródzie Saskim zaciera drżące ręce; nareszcie krzaki obrodzą puszystymi flachami cę i złoty polski. Rok akademicki skłania do refleksji damska obsługa jednej z księgarni przy Krakowskim Przedmieściu: *W Botaniku, pani Krysto, w dzień potrafią, bez wstydu...* Studenci rozrabiają, piją, kochają się bez sakramentów, a podobno i cudzołożą. Straszne? Straszne! Zaiste, wizja to apokaliptyczna, jeśli przypomnieć, że w Lublinie jest kilkanaście tysięcy studentów! Wizja odstaje chyba jednak od rzeczywistości, bo gdyby

było inaczej, to babcia ustępowa powinna się sposobie do nabycia polskiego „Fiata”, na co, o ile wiem, się na zanosi.

Najcieższych jednak argumentów do ukształtowania się wspomnianej opinii o sposobie bycia lubelskich studentów dostarczyły ostatnie „Kozienalia”. Rzeczywiście, niełatwo uznać za przedni żart wymalowanie na tylnej części ciała pewnej studentki takiej reklamy: 33 procent zniżki, albo porywanie z restauracyjnych stolików butelek z wódką przez rozanielone bandy wyrostków, czy też pakowanie się w piętnaścioro do 1. na taksówkę. Trudno się więc dziwić, że zdegradowani obywatele miasta slali anonimów do władz z wyrazami współczucia z powodu wręczenia kluczy grodzkich wataśce chuliganów etc. Nikt chyba nie ma zamiaru bronić pospolitego chamstwa i beznadziejnego, taniego wygłupu, ale też byłoby niesprawiedliwością, groźną w społecznych skutkach, utożsamiać tych kilkudziesięciu żalonych kondotierów z ogółem studentów. Jak się jednak okazuje, wytrych semantyczno-językowy słowa „student” i zasada  *jeden za wszystkich, wszyscy za jednego* są najwygodniejszymi narzędziami ferowania ostatecznych wyroków. No cóż, w Lublinie i okolicy zdarzają się jeszcze cuda, a opinię publiczną łatwo zbulwersować byle mini-kiecką. Zastanawiające jednak, jak niewiele uwagi poświęcono drugiej stronie „Kozienalii” — wystawom studenckich plastyków, spotkaniom literackim, występom zespołów artystycznych. Czyżby rzeczywistość było aż tyle przesłaniającego wszystko chamstwa?

Mówi się: studenckie zespoły artystyczne należą do najlepszych w kraju. Opinia ta znajduje potwierdzenie w faktach. Uniwersytecki teatr „Gong-2” zdobył już tyle krajowych dowodów uznania, że trudno je tu wymienić (ostatnio I nagroda na „Famie 68” w Swinoujściu). Zapraszany za granicę, nie wraca z pustymi rękoma. Był w Moskwie, Charkowie, Kazaniu oraz w Parmie, gdzie plebiscyt publiczności przyznał mu 3 miejsce w tam-

tejszym festiwalu teatrów studenckich, wybiera się do Debreczyna, a stamtąd do włoskiego Arezzo — na międzynarodowe spotkanie scen eksperymentujących. Jest zespołem studenckim w pełnym słowa tego znaczeniu: z 30 osób zespołu zaledwie trzy są po studiach. Posiada nietuzinkowe ambicje artystyczne, w ciągu ubiegłego sezonu zaprezentował cztery premiery: „Za! Kronika 1917 roku”, „Maria”, „Dialog na Święto Narodzenia”, „Testament”. Swoją sławę zawdzięcza nie tylko interesującym pozycjom repertuarowym i sprawności aktorskiej, lecz, a może przede wszystkim, indywidualnym, pełnym rozmachu rozwiązaniom inscenizacyjnym. W centrum krajowego ruchu teatralnego studentów znalazł się na pozór nagle, tak nieoczekiwanie, jak ujawnił się w Lublinie jego twórca Andrzej Rozhin. Tylko osoby zbliżone do tego teatru wiedzą, ile czasu i pracy wymagało przygotowanie startu rzekomego fukna na krajowej arenie artystycznej.

Nie ulega przecieł wątpliwości, że „Gong-2” zaskoczył publiczność studencką. Do tego stopnia, że obecnie widownia w „Chatce Zaka” składa się w większości z ludzi spoza środowiska, z którego „Gong-2” przecieł się wyłonił. Przedstawienia trudniejsze w odbiorze, wymagające pewnego przygotowania i kultury teatralnej, nie cieszą się powodzeniem. Jak można sądzić, obecni studenci wola repertuar rozrywkowy, lekki, żeby nie powiedzieć — ideowo i intelektualnie wątpliwy. Dawne to czasy, kiedy urządzane na początku działalności „Chatki Zaka” przeglądy studenckich zespołów teatralnych gromadziły komplet publiczności, a dochody z przedstawień pokrywały ich koszty. Łatwo stać wyprzedzić wnioskiem o obniżeniu się aktywności kulturalnej studentów i o spadku zainteresowania teatrem. Pierwsze z tych stwierdzeń jest jednak zbyt ogólne, aby było prawdziwe, albowiem nie wolno chyba mierzyć stopnia rozbudzenia kulturalnego uczestnictwem w jednej tylko dziedzinie sztuki. Drugie natomiast trafia chyba w rzeczywistość lubelską, a dodatkowym jest

potwierdzeniem jest fakt, że Rozhin ma poważne kłopoty z werbowaniem nowych ludzi do zespołu. W Lublinie trzeba o to prosić, kiedy np. dostanie się do wrocławskiego „Kalamuru” jest sprawą niełatwą i przynoszącą wybrańcom sporo prestiżu w oczach środowiska. Przyjemniej jeść, niż produkować jedzenie.

Studenckie menu kulturalne jest w miarę kaloryczne i w miarę różnorodne. Cóż z tego, kiedy młodzi fizycy czy historycy nie bardzo mają ochotę na co pikantniejsze dania. Od pewnego czasu Rada Okręgowa ZSP współpracuje z Filharmonią Lubelską w celu, jak to się mówi, upowszechnienia muzyki poważnej w środowisku studenckim. Specjalne koncerty poprzedzone prelegentkim komentarzem, wprowadzającym w stylistykę prezentowanych utworów, cena biletów dostosowana do niezbyt zasobnych kieszeni, nierzadko zreczna i huczna reklama — jakoś to wszystko nie owocuje pod postacią większego zainteresowania się studentów muzyką. Nawet wielki koncert pod patronatem i z udziałem Kolegium Rektorów lubelskich uczelni, wystarczająco i z wielu względów, wydawałoby się, atrakcyjny, skończył się frekwencyjną klapa. Bogiem a prawdą, nie dziwię się tej obojętności studentów w stosunku do Filharmonii — sam kiedyś uciekłem na początku takiego koncertu: po wysłuchaniu kilku zdań pretensjonalnej i miejscami infantylnej prelekcji. W gastronomii i w sztuce obowiązuje ta sama zasada: „co, ale i jak podano”. Rada Okręgowa opracowuje obecnie nowe formy popularyzacji muzyki w środowisku, bardziej kameralne, może one właśnie okażą się skuteczne.

Do teatru i filharmonii trzeba pójść, kupić bilet, rozebrać się w szatni, dostosować do obowiązujących konwencji zachowania się. Obejrzenie sztuki dramatycznej czy wysłuchanie koncertu symfonicznego za pośrednictwem odbiornika telewizyjnego zwalnia z wielu kłopotliwych zabiegów. Przed klubowym telewizorem można palić papierosa, pić kawę lub piwo. Można w każdej chwili opuścić salę, jeśli rzecz nie przypadnie do gustu. Kontakt poprzez telewizor jest wygodniejszy, dlatego młodzież go wybiera. A zmuszona, np. w szkole średniej, do odsiedzenia w fotelu teatralnym przeznaczonym dla niej spektaklu, nudę zabija strzelaniem z procy do aktorów. Z tego także — najważniejszego — powodu, że konwencja teatru jest jej coraz bardziej obca. Natomiast teatr w telewizji zbliża się do filmu, z którym to gatunkiem obcuje się od dziecka, więc trudna nawet sztuka ma swoich młodzieżowych widzów. Jeśli studenci nie walą oknami i drzwiami do teatru, to moim zdaniem, winić ich za to byłoby takim samym absurdem, jak mieć pretensje do garbatego za posiadanie garbu. Dwie trzecie studentów uczelni lubelskich pochodzi albo ze środowisk wiejskich, albo malomiasteczkowych. Szkoła średnia sporadycznie tylko kontaktowała ich z teatrem. Z malarstwem i muzyką także. Ich wiedza o sztuce jest znikoma, bo do niedawna programy szkolne nie przewidywały takich „zbytecznych” przedmiotów. Przyjeżdża później taki bean do Lublina i zachęcający bezpłatnym biletem udaje się do „Chatki Zaka”, gdzie nudzi się potwornie „Testamentem” Villona. Ma dość na cały okres studiów. A jeśli, na domiar wszystkiego, wysłucha wykładu znanego profesora, filozofa na dodatek, który nie od święta odziera sztukę współczesną ze wszystkich wartości, w swej nietolerancji odmawiając jej miana... sztuki, to nasz student bez skrępowania polezie drogą kulturalnego oportunizmu i wąskiej specjalizacji zawodowej. Głosimy światu, że uczelnia socjalistyczna jest szkołą ludzi światłych, o szerokich horyzontach humanistycznych, a często w praktyce produkujemy ograniczonych fachmanów. Na wiosnę tego roku Rada Okręgowa ZSP uruchomiła Studium Wiedzy Estetycznej, którego ostatni, czwarty z kolei, wykład zgrupował około stu słuchaczy. A więc potrzeba wiedzy o sztuce istnieje wśród pewnej grupy studentów. I warto o tym pamiętać i kontynuować działalność studium — bez względu na liczbę ewentualnych słuchaczy. Moim zdaniem, nawet trzydziestu wystarczy!

Kino studyjne w „Chatce Zaka” nie jest właściwie placówką studencką — prowadzi je Wojewódzki Zarząd Kin — ale sama lokalizacja, a także obecność w Radzie Programowej trzech przedstawicieli RO ZSP wiąże jego działalność przede wszystkim ze środowiskiem uczelnianym. Rola tej placówki nie wymaga chyba obszerniejszego komentarza: przeznaczona do przedstawiania filmów o wysokim poziomie warsztatowo-artystycznym i złożonej problematyce ideowej, ma rozwijać kulturę filmową wśród studenckiej społeczności i dostarczać jej powodów do zastanowienia się nad tym wszystkim, co w życiu współczesnym ważne, trudne i groźne. Kierując spojrzenie na os-

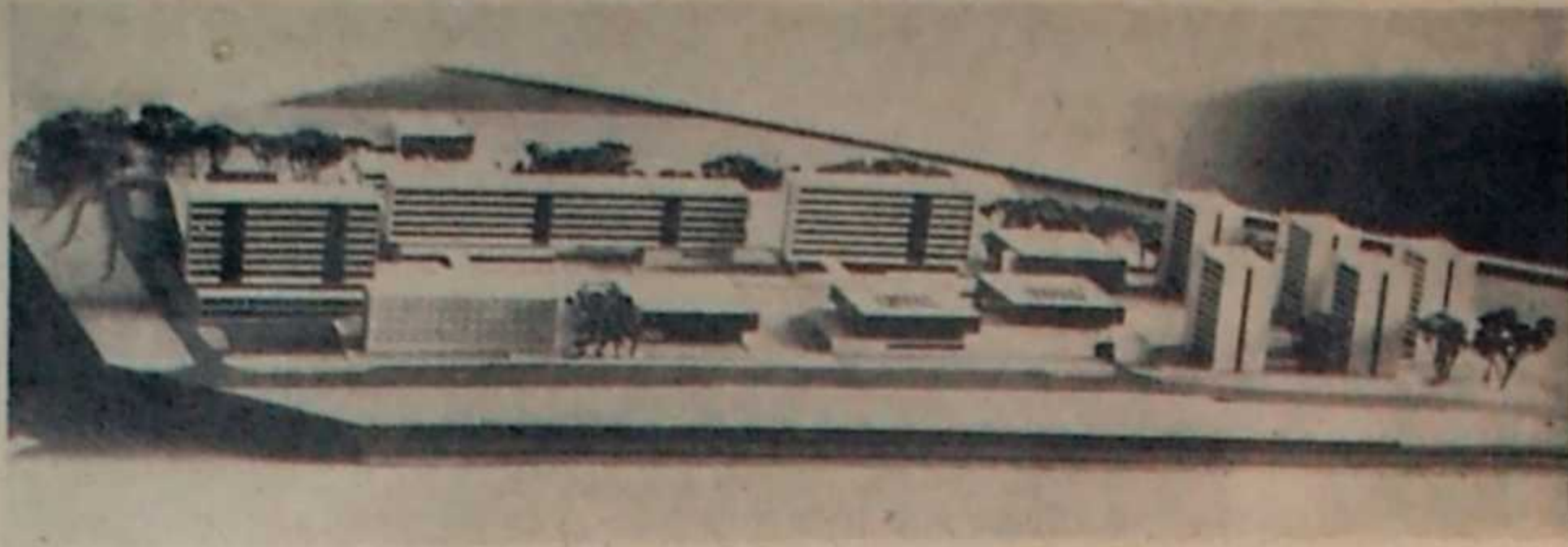
tatni rok pracy kina studyjnego trzeba powiedzieć, że tylko częściowo spełniła ono swe zadania i obietnice. Niewiele więc widzeliśmy filmów z puli „wyłączającej dla kin studyjnych”, czyli obrazów najbardziej ambitnych, a to, czym zawyżają częstotliwość, można określić jako dzieła poprawne, dostępne w każdym innym kinie. Zdarzają się także rozrywkowe panoramy w technicolorze — podobno ukłonił w stronę studenckiej widowni — które po kilku dniach wchodziły na ekran „Kosmosu”. Bywało, że zamiast zapowiedzianych filmów serwowano inne tytuły, ponieważ właściwych kopii nie zdążyło dostarczyć w terminie do Lublina. Niemożliwością okazało się wznawianie atrakcyjnych pozycji, ze względu na krótkie okresy licencyjne tych dzieł. Niejedno z wyliczonych niedociągnięć usprawiedliwiają popularne u nas „przeszkody obiektywne”, ale kto znajdzie wyjaśnienie mizernej aktywności Rady Programowej, od której właśnie zależy merytoryczno-repertuarowa polityka kina? Polityka, która w gruncie rzeczy nie istnieje, zastąpiona przez przypadkowe gesty i decyzje. Całkowitym też nieporozumieniem traci zmonopolizowanie prelekcji przez jednego tylko, warszawskiego krytyka, który notabene przez kilka miesięcy nie przyjeżdżał do Lublina, bo nie pozwolił mu na to zajęcia w wyższej uczelni artystycznej. WZKin mogłyby zastanowić się nad celowością tej monogamii. Czy nie można np. częściej zapraszać realizatorów prezentowanego filmu, jak to było w przypadku „Żywo ta Mateusza”? Czy nie budzą niepokoju sporadyczne tylko dyskusje po seansach, niemrawe i powierzchniowe? Jak wiele zależy od sprawnej organizacji takiego przedsięwzięcia jakim jest kino studyjne, przekonuje negatywna historia studium wiedzy o filmie, związanego niegdyś z kinem „Starmiejskim”. Cała impreza po kilku wstępnych szlemach zaczęła rozlatywać się w drzazgi — m. in. dzięki organizacyjno-krasomówczej „sprawności” kierującego nią pracownika WZK. Kino w „Chatce Zaka” ma szansę kształtowania estetycznej wrażliwości i intelektualnej dociekliwości studentów. Ale szansy tej, jak dotychczas, w pełni nie potrafiło wykorzystać.

Działacze studenckie zgodnie stwierdzają: młodzież akademicka ceni sobie i bierze żywy udział w dyskusjach ideowo-politycznych. Wskazują przy tym na dość wysoki poziom tych dyskusji i śmiało stawianie problemów. Ale — co znamienne — najbardziej autentyczne i żarliwe są rozmowy niejako półprywatne, spontaniczne, prowadzone przy klubowej choćby kawie. Czy naprawdę nie można stworzyć zorganizowanej platformy swobodnego dyskusyjnego o istotnych sprawach polskiego życia społeczno-politycznego? Pewne doświadczenia Studenckiego Koła Nauk Politycznych i klubu „Publicum” odpowiadają na to pytanie twierdząco. Rzecz w tym, aby formy ich pracy rozszerzyć i uatrakcyjnić. Nie do mnie zresztą należy wypisywanie recept na skuteczną działalność ideowo-polityczną w środowisku studenckim. Nie mogę się jednak powstrzymać od wyrażenia świątobliwego życzenia: oby w dyskusjach na te tematy w większym niż dotychczas stopniu uczestniczyli samodzielnymi pracownikami nauki! Perypatetyka metoda Arystotelesa wydała owoce nadspodziewanie dorodne i długowieczne.

Realizacją programu działalności kulturalnej wśród studentów zajmują się komisje kultury rad uczelnianych ZSP. Nie jest tajemnicą, że komisje te pracują dość niemrawo, rzadko wykazując własną inicjatywę oczekującą zazwyczaj na sugestie „z góry”. Odczuwają też brak działaczy z prawdziwego zdarzenia, co właśnie tłumaczy ich amorficzność. Najbardziej dynamiczni ludzie skupiają się w komisjach ekonomicznych (stypendia, zasiłki itp.) a fakt ten, aczkolwiek zrozumieli i jakoś usprawiedliwiony hierarchią studenckich potrzeb, nasuwa przecieł niewesołe refleksje. Trzeba się równocześnie zgodzić z popularną wśród aktywu studenckiego opinią, że zasada rotacji w radach uczelnianych i okręgowej, nie pozwalająca kandydować 2/3 składu ustępującego organu w wyborach do kolejnej rady, jest jedną z głównych przeszkód uniemożliwiających faktycznie wciągnięcie się do roboty w środowisku. Dla jasności: kadencja rady uczelnianej trwa półtora roku, a okręgowej dwa lata. Sprawa ta doczeka się zapewne sensownego rozwiązania na zbliżającym się Kongresie ZSP.

Studencki ruch artystyczny w Lublinie posiada dorobek niewątpliwie wysokiej jakości: znakomity Zespół Tańca Ludowego UMCS, który pod wodzą Stanisława Lesz-

Dokończenie na str. 11



Zdjęcie makiety projektowanego ośrodka Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie

# Uczelnia przyszłości

Tadeusz Graba

**W**DACIE narodzin Wiczciorowej Szkoły Inżynierskiej, przekształconej trzy lata temu w Wyższą Szkołę Inżynierską, znajduje się liczba „13”, od której, jak to powszechnie wiadomo, wiele zależy. Życiowe powodzenie, albo jego brak zupełny, pomyślność lub szara vegetacja. W przypadku najmłodszej uczelni Lublina trzynastka okazała się liczbą szczęśliwą. Ale wszelkie, najbardziej nawet życiowe i potężne moce, ukryte w cyfrowym symbolu, nie na wiele by się zdały gdyby nie ludzka robota, upór i wiara w to, co się przedsięwzięło. Nie ma chyba drugiej takiej instytucji, w której, która jak WSI powstała w rezultacie zbiorowego działania odległych od siebie organizacji, czynników, zakładów pracy i instytucji, a których zaangażowania się w rozwój uczelni nie sposób wytlumaczyć li tylko chłodną kalkulacją, choć i ten moment odegrał poważną rolę.

Myśl powołania w Lublinie wyższej szkoły o profilu technicznym zaczęła się konkretyzować już w 1950 r., kiedy przewodniczącym lubelskiego oddziału NOT był mgr inż. Stanisław Podkova. On to właśnie, wspólnie z inżynierem M. Kwietniem i przewodniczącym PKPG w Lublinie inż. B. Wilczewskim, wysunął projekt zorganizowania takiej placówki. Inicjator okazał się człowiekiem nie tylko energicznym, ale i szybkim. W memoriałach wysyłanych do odpowiednich władz domagał się — w formie prośby, oczywiście — uruchomienia Wiczciorowej Szkoły Inżynierskiej już w tym samym niemal momencie, kiedy spostrzegł jej potrzebę. Miał zresztą potężnych sojuszników w faktach, których dostarczał rozwój przemysłu Lubelszczyzny.

W tym okresie Rejowiec przygotowywał się do rozpoczęcia budowy cementowni, na pola obecnej Fabryki Samochodów Ciężarowych weszły pierwsze ekipy robotników,

aby w półtora zaledwie roku ukończyć podstawowe obiekty zakładu, Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych wyprodukowała pierwszą partię 5 tysięcy łożysk tocznych, w szybkim tempie modernizuje się Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych, rośnie Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego, a z nią Swidnik, uhonorowany w 1954 r. prawami miejskimi, Zakłady Wytwórcze Sprzętu Instalacyjnego w Poniatojewie produkują wysokiej jakości bezpieczniki automatyczne, eksportowane następnie (nieco później) do Brazylii i Turcji... Przemysł rośnie i woła o fachowców: techników i inżynierów. A tych ostatnich, przede wszystkim, jak na lekarstwo. Wyższe uczelnie Lublina kształcą lekarzy, rolników, prawników, fizyków i polonistów, których podyplomowa droga rzadko prowadzi, z oczywistych względów, do zakładu przemysłowego. Lublin ówczesny nie jest zarazem miastem na tyle atrakcyjnym, aby leciały do niego roje absolwentów krajowych politechnik. O inżynierów zresztą walczyła cała Polska, którą plan 6-letni wciągnął w mocny i szybki rytm przemian gospodarczych. Idea powołania wyższej uczelni technicznej nie została wydumana za biurkiem, gra była o większą stawkę niż lokalne ambicje. Jej popularność usprawiedliwiała realia życiowe.

7 kwietnia 1950 r. utworzono komitet organizacyjny WSI z przewodniczącym mgr inż. Romualdem Krzywickim i sekretarzem mgr inż. Włodzimierzem Ginką. Niecały miesiąc później Biuro Regionalne PKPG formalnie zaleca powołanie uczelni. Pod koniec lipca na wspólnym posiedzeniu oddziału lubelskiego NOT i Komitetu Wojewódzkiego PZPR z udziałem przedstawicieli Prezydium WRN zapada decyzja zwrócenia się do władz centralnych o założenie WSI. W sierpniu przewodniczący Prezydium WRN, Paweł Dąbek, kładzie swój podpis pod uchwałą w sprawie uruchomienia uczelni. Delegat Rady molestuje odpowiednie władze warszawskie, zabiega o

przychylnie spojrzenie na lubelską inicjatywę. Czas płynie, rośnie korespondencja, batalia trwa.

Ostatecznie 13 maja 1953 roku Rada Ministrów wydaje uchwałę o utworzeniu Wiczciorowej Szkoły Inżynierskiej. Pierwszym rektorem zostaje mianowany prof. dr Stanisław Ziemecki, wybitny uczony, świetny popularyzator wiedzy, kierujący Katedrą Fizyki UMCS. Stanowisko dziekana jednego wydziału, mechanicznego, obejmuje mgr inż. Stanisław Podkova. 24 sierpnia pierwszy kandydat przystępuje do egzaminów wstępnych; 109 z nich otrzyma później indeksy.

Profesor Ziemecki nie doczekał uroczystości wręczenia dyplomów pierwszym 8 absolwentom, zmarł rok wcześniej (19 stycznia 1956 r.); jego następcą został inicjator Szkoły — Stanisław Podkova, który tę funkcję piastuje do dzisiaj.

W pierwszych latach istnienia Wiczciorowej Szkoły Inżynierskiej niełatwo było odpowiedzieć na pytanie, gdzie też ta uczelnia się mieści. Ze w Lublinie, o tym wiedzieli wszyscy obywatele miasta, ale ściślejsza lokalizacja była tajemnicą profesorów, studentów, kilku dziennikarzy, którzy, jak red. Włodzimierz Smutek, pomogli rozwikłać niejedną problem organizacyjno-materialną Szkoły. Przez pierwsze bowiem dziesięć lat istnienia WSI nie posiadała odpowiedniemu jej potrzebom budynku, wykłady odbywały się w wynajmowanych salach szkół średnich i zawodowych, a zajęcia laboratoryjne w prowizorycznych warunkach na terenie zakładów przemysłowych. Dopiero w 1962 r. Szkoła — decyzją Prezydium WRN — otrzymała gmach przy ul. Dąbrowskiego 13, dawny pałac Sobieskich, który w okresie powojennym mieścił dyrekcję linii wąskotorowych PKP.

Młoda uczelnia miała też sporo innych kłopotów. Wiele wysiłków i dyplomatycznych niemal zabiegów pochłonęło skompletowanie odpo-

wiedniej kadry naukowo-dydaktycznej; do dziś zresztą problem ten nie został w pełni rozwiązany. Nie załatwiono też od ręki wyposażenia pracowni w nowoczesną aparaturę. Wszystkie te trudności ujawniały... przyjaciół uczelni. Fabryka Samochodów Ciężarowych, Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Swidniku, Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, zakład w Poniatojewie, różne przedsiębiorstwa i instytucje Lubelszczyzny przekazały Szkole niejedną maszynę, niejedno urządzenie techniczne nieodzwonnie w procesie dydaktycznym. W 1960 r. powstało Towarzystwo Przyjaciół WSI, a rok później międzyuczelniany komitet do współpracy z Wiczciorową Szkołą Inżynierską, bez pomocy których trudno sobie wyobrazić pomysły rozwoju placówki. O tym rozwoju świadczą fakty.

W 1958 r., a więc w piątym roku istnienia Szkoły, dyplomy ukończenia otrzymało 35 osób, w 1962 r. — 65 osób, w sumie w latach 1957—63 uczelnie opuściło 199 absolwentów. Budżet WSI w 1953 r. wynosił 450 tys. zł, aby dziesięć lat później osiągnął sumę 5,5 mln złotych.

Ale już około 1952 r. stało się oczywiste, że jednowydziałowa Szkoła nie zaspokaja chłonności lubelskiej gospodarki, która na lata 1962—65 zgłosiła zapotrzebowanie na ponad 2200 inżynierów-mechaników, ok. 1200 elektryków i energetyków, ponad 2200 inżynierów sanitarnych i budowlanych. Możliwość zaspokojenia tych apetytów kształtowały się w granicach 50 procent. Ten właśnie moment, poparty dobrymi wynikami nauczania dotychczasowej placówki, doprowadził do jej przekształcenia w Wyższą Szkołę Inżynierską z trzema wydziałami: Mechanicznym, Elektrycznym i Budownictwa Lądowego (1965 r.). W ramach tych wydziałów rozpoczęto kształcenie fachowców w dziedzinach szczególnie deficytowych pod względem wyspecjalizowanej kadry, do jakich m. in. należały (i w znacznym stopniu nadal należą) technologia budowy maszyn, obróbki plastycznej, eksploatacji pojazdów, elektrotechnika przemysłowa, automatyka i telemechanika, elektrotechnika rolnicza, budownictwo miejskie i przemysłowe, inżynieria sanitarna, technologia elementów budowlanych i prefabrykacji...

W roku bieżącym Wyższa Szkoła Inżynierska święci 15-lecie istnienia. Warto więc dokonać pobieżnego choćby bilansu jej działalności. Do chwili obecnej uczelnia wydała 506 dyplomów, w tym na Wydziale Mechanicznym — 407, Budownictwa — 61, Elektrycznym — 38 (pierwsza grupa w trzech Wydziałach). Budżet osiągnął wysokość 21 mln zł. Poza studiami stacjonarnymi (od 1965 r.) rozwijane są nadal wieczorowe i zaoczne. Na pierwszym z nich kształciło się w minionym roku akademickim 780 osób, na drugim — 930, na trzecim — 605. Ogólna liczba słuchaczy w omawianym okresie przekroczyła 2300, co stawia uczelnię na jednym z pierwszych miejsc wśród krajowych szkół inżynierskich, a zbliża nawet do posiadających już tradycję politechnik w Częstochowie i Szczecinie. Do roku 1970 liczba studentów powinna przekroczyć 2700, a w roku 1980 — ponad 6000! Trzeba podkreślić, że sprawność nauczania jest

bardzo wysoka: studia kończy 95 proc. rozpoczynających. Ze Szkołą związanych jest 115 etatowych pracowników naukowo-dydaktycznych oraz 70 specjalistów z Politechniki Warszawskiej, UMCS, WSR i zakładów przemysłowych. Na etacie uczelni znajduje się 9 docentów i 3 doktorów, a 9 pracowników posiada otwarte przewody doktorskie.

Młoda uczelnia nie tylko bierze od innych, ale i coraz częściej służy swoją pomocą. A to jest chyba dowód jej okrzepnięcia i dojrzałości. W 1967 r. zorganizowała na przykład — pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk — kurs pomiarów laboratoryjnych dla pomocniczych pracowników wyższych uczelni krajowych. Jej wykładowcy prowadzą zajęcia w lubelskiej WSR w zakresie specjalności technicznych Zakładów doświadczalnych WSI wykonują ekspertyzy, projekty i prototypy maszyn oraz urządzeń, aleone przez placówki gospodarcze województwa. Program ten realizowany jest zgodnie z umowami podpisanymi z FSC, WSK, KFWM, „Azotami” oraz przedsiębiorstwami terenowymi i spółdzielczymi. Zakłady przemysłowe oddalone od Lublina korzystają z pomocy punktów konsultacyjnych, które istnieją przy Kraśnickiej Fabryce Wyrobów Metalowych i Zakładach Azotowych w Puławach.

Obecnie największą przeszkodą w dalszym rozwoju uczelni jest szufla bara lokalowa, aczkolwiek jej stan poprawił się znacznie w stosunku do tego z lat pięćdziesiątych. Aby stworzyć optymalne warunki działania WSI już w r. 1962 rozpoczęto prace nad przygotowaniem dokumentacji nowego ośrodka uczelnianego, który zlokalizowano na początku ul. Nadbystrzyckiej. Założenia generalne rozwoju WSI — zatwierdzone przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego — przewidują uczelnię trójwydziałową dla 2 tysięcy słuchaczy na studiach stacjonarnych i 4 tysięcy na zocznych i wieczorowych. Budowa nowoczesnego ośrodka o kubaturze 250 tys. m. sześciennych pochłonie 300 mln zł. Realizację projektu — autorstwa inż. arch. Jerzego Andrusiaka z zespołem — już rozpoczęto, oddano mianowicie do użytku gmach Wydziału Elektrycznego.

Sądząc po makiety projektu, przyszłe centrum WSI będzie rzeczywiście imponujące i architektonicznie niebanalne. Mniej zachęcająco przedstawia się natomiast sprawa terenu, na którym mają być wznoszone obiekty. Do tej pory przekazano Szkole niewielką tylko jego część, a pozostały obszar użytkuje Technikum Mechanizacji Rolnictwa. Dokumentacja inwestycji, które zgodnie z planem powinny wejść w stadium realizacji w 1969 roku, już istnieje, jeśli więc Szkoła nie otrzyma potrzebnych jej terenów na początku przyszłego roku, to piękne projekty pozostaną na papierze. Nie wiadomo, na jak długo. A przemysł czeka na inżynierów. Oby więc „13” w metryce WSI dopomogła jej w pomyślnym rozwiązaniu tej sprawy. Z naszej strony życzymy 15-latec ad multos annos! Może to jednak za skromne życzenie dla uczelni, którą samo życie będzie awansowało z roku na rok?

# Ratusz, ale jaki?

Stanisław Michalczuk

**R**ATUSZ dla miasta jest tym samym, czym stolica dla państwa. Oprócz władz i urzędów jest tam zwykle wiele śladów przeszłości, dokumentów historii, które przybierały najczęściej kształty dzieł sztuki i jako obrazy, rzeźby, meble, niecodzienne sprzęty i przedmioty, zdobą techną powagą wnętrza szacownego budynku.

Szczególnie w miastach dawnych Niderlandów i krajów germańskich, gdzie tradycje kultury mieszczańskiej były i są nadal wyjątkowo żywotne, oglądać można ratusze pełne splendoru odległych czasów. W Polsce szacunek dla ratusza miejskiego dawno minął, a okazałe niegdyś siedziby władz miejskich, spłądowane w czasach kolejnych kataklizmów dziejowych, przepadły bezpowrotnie lub przetrwały w nader skromnym i niekompletnym stanie.

Ratusz zamojski jest tego najlepszym przykładem. Wracamy do

jego spraw historycznych i nowych z powodu niejako wskrzeszenia wartości i znaczenia tej budowli, która po trudnych zabiegach remontowo-konserwatorskich powraca dziś do utrwalonej wiekami roli. Budowę Zamościa, po rozplanowaniu i wytyczeniu miasta jesienią 1579 r., zaczęto od rezydencji Kancelarza, arsenału, kolegiaty i obwarowań. Zabudowa Rynku Wielkiego i rynków bocznych oraz ulic powstawała na przełomie XVI i XVII wieku. Najokazalszym obiektem tej zabudowy był Ratusz, chociaż swą bryłą daleki był jeszcze od budowli obecnej.

Usytuowanie Ratusza w starannie przemyślanym układzie urbanistycznym miasta zasługuje na specjalną uwagę. Badacze struktury miasta — rezydencji, jakim jest Zamość, widzą w umieszczeniu Ratusza w jednej z pierzei rynku, a nie na jego środku, jak bywało w miastach średniowiecznych i nowożytnych, wyraźną chęć podporządkowania głównego obiektu architektury mieszczańskiej zamkowi, siedzibie właściciela miasta, sprzężonej w jedną całość urbanistyczną. Fakt ten wiąże również z utrzymaniem symetrii i regularności

układu planu „miasta idealnego”. Podporządkowanie Ratusza tym prawidłom szło tak daleko, że nie wytyczono dlań miejsca nawet na osi poprzecznej Rynku Wielkiego, odsuwając go w bok od tej osi i przeznaczając na jego budowę plac o wielkości zaledwie dwóch działek budowlanych w zachodniej polowie pierzei północnej (cała pierzeja północna liczyła dziesięć działek).

Na tym niewielkim placu, włączonym w zabudowę pierzei, rozpoczęto w roku 1591 budowę pierwotnego Ratusza, zaprojektowanego przez Bernarda Morando. Prace budowlane pod okiem Moranda trwały do roku 1600, a po śmierci wielkiego architekta ciągnęły się jeszcze do około 1622 r. Wieża, postawiona na niskim gruncie, wymagała podmurowania już przed rokiem 1605, co wykonał Michał Belter. Nie znamy wyglądu tej pierwotnej budowli. Zdani jesteśmy na niezbyt dokładną rycinę planu perspektywicznego Zamościa z około 1619 r., zamieszczoną w dziele G. Brauna — Civitates orbis terrarum... (1618). Widnieje na niej okazała, chociaż jednokondygnacyjowa bryła Ratusza, zwieńczona grzebieńsiastą atyką, kryjącą pograżony, lamany dach, do której od strony Rynku Wielkiego przylega monumentalna, stożkowata, wysoka wieża przykryta spleśnianym hełmem. Przypuszcza się, że był to budynek dwukondygnacyjny, podpiwniczony, z prostokątną wysoką wieżą przed fasadą. Jego elewacja tylna wychodziła na Rynek Solny, boczna

wschodnia ciągnęła się wzdłuż ulicy Solnej, a zachodnia stykała się z sąsiednim domem, nie było bowiem wówczas ulicy Ratuszowej. Od strony Rynku Wielkiego i ulicy Solnej parter budynku otwierał się podcieniami, które w fasadzie stanowiły odcinek jednolitego ciągu podcieni kamienic przyrynkowych.

Żywo Ratusza Moranda był krótki. Przebudowa nastąpiła w niespełna dwadzieścia lat po jego wystawieniu.

Stało się to w latach 1639—51 i było dziełem drugiego wielkiego zamojskiego budowniczego Jana Jaroszewicza i wstawionego licznymi budowlami w Lubelskiem muratora Jana Wolffa. Tak rychła generalna rozbudowa Ratusza daje się wytłumaczyć wzrostem miejskiego znaczenia Zamościa i jego bogactwem się, dzięki transakcjom handlowym, mieszkańców; druga ćwierć XVII wieku wycisnęła na architekturze miasta najwęższe i najobficiej zachowane piętno.

Nowy okazały Ratusz w części tylko przechował w sobie architekturę morandowską. Budowla Jaroszewicza i Wolffa zajęła trzy działki i dzięki przebiegu ulicy Ratuszowej stała się budynkiem wolnostojącym, dostępnym z czterech stron. Od strony Rynku Wielkiego dobudowano drugi ciąg podcieni, które wraz z ciągami bocznymi, umożliwiały okrycie z trzech stron. Wystawiono okazałe elewacje, w których podcieniach architektonicznych, w kondygnacji parterowej mieściła się Waga i sklepy. Sale reprezentacyjne, radzicęka, wójtowska, sędziowska i kancelaria znajdowały się na piętrze. Wejście główne, w oprawie bogatego portalu, prowadziło do wnętrza z podcienia.

Po stu latach, w drugiej połowie XVIII wieku, dokonano dalszej rozbudowy Ratusza. Zmianom ulega najwyższa kondygnacja, przekształcona z poddasza na drugie piętro. Przed wieżą wybudowano odwach i monumentalne wachlarzowate schody, przenoszące portal główny z podcienia na elewację wieży. Wieżę zwieńczono nowym, bogatym

hełmem i umieszczono na niej zegar.

Następne stulecie przyniosło zagładę manierystyczno-barokowych form bryli i dekoracji Ratusza. Moda na klasycyzm starła z jego elewacji bogate podziały architektoniczne i atykę, a adaptacja budyńku na więzienie pociągnęła za sobą gruntowną przebudowę wnętrza. Ocalały zewnętrzne schody i hełm wieży.

Modernizacja Ratusza była dziełem Ludwika Malletskiego, generała brygady i dowódcy twierdzy zamojskiej, a przeprowadzoną ją w latach od 1822 r. do połowy wieku. W przedsięwzięciu tym więcej było szkody niż pożytku, bo zatracono oryginalne formy typowej dla Zamościa architektury z połowy XVII wieku.

Niefortunny postępek wynagrodził Malletski inwentaryzacją budynku, sporządzoną przed przystąpieniem do przebudowy. Zachowane do dziś kolorowe planse rysunkowe inwentaryzacyjnych i projektowych z roku 1822 przekazały nam wykład Ratusza manierystyczno-barokowego. Na jednym z rysunków przedstawiającym elewację frontową budynku, wpisano uwagę części: „Zniszczenie poszczególnych jego części: Obok hełmu wieży odnotowano: to wszystko z drzewa zrobiono i obecnie komendant twierdzy zwołał przedstawienie do Rządu, ażeby tę część zniszczenia a szczyt wieży zakończono małą wieżyczką, aby przez to uniknąć niebezpieczeństwa od piorunów. A obok atyki: to wszystkie ornamenta zniszczone w 1822.”

Rzeczywiście „zniesiono” wszystko co stanowiło zewnętrzną i wewnętrzną ozdobę Ratusza. Hełm wie-

# Została sama poezja...

Lublin czcił swojego poetę. 9 września 1939 r. zginął Józef Czechowicz. 9 września br. w miejscu, gdzie zginął poeta, wmurowano akt erekcyjny pod jego pomnik. Zatwierdzony do realizacji projekt pomnika, autorstwa lubelskiego rzeźbiarza Tadeusza Skwarczyńskiego, znajduje się na wystawie w Muzeum Czechowicza, które również otwarto 9.IX br. Wnętrze Muzeum zaprojektował Jerzy Torończyk, oprawę plastyczną przygotowała Grażyna Czapka, kraty i latarnie w inicjalami poety wykonał metaloplastyk Stanisław Gosławski. W uroczystości brało udział wiele osób, które znały i pamiętają poetę. Poniżej drukujemy przemówienie Zygmunta Mikulskiego, prezesa lubelskiego oddziału ZLP, wygłoszone na otwarciu Muzeum.

## Przemówienie Zygmunta Mikulskiego na otwarciu Muzeum im. Józefa Czechowicza

**W**YDARZENIE, które nas tutaj zgromadziło, nie potrzebuje podkreślać, jak ważne jest dla całego lubelskiego środowiska literackiego, jak doniosłe dla miłośników poezji, jak odświętne dla ludzi czynnie zainteresowanych kształtowaniem słów według nakazów refleksji i wzruszenia. Oto uczestniczymy w zajęciach pierwszego dnia Muzeum imienia Józefa Czechowicza w Lublinie. Obecnością władz, reprezentantów środowisk twórczych i przedstawicieli społeczeństwa dokumentuje się powstanie instytucji będącej zadośćuczynieniem przez długie lata odczuwanej potrzeby. Nareszcie wszystko, co czechowiczowskie, co kiedykolwiek znalazło się w kręgu niezwykłej poezji „nuty człowieczej” znajduje tu ocalenie przed destrukcyjnym działaniem przypadku, czy zapomnienia. Jesteśmy tymi, którzy staraniem swym — a odnosi się to do najmniejszego nawet jego rozmiaru — zgromadzili okrucy przedmiotów towarzyszących kiedyś tej fascynującej sprawie, której na imię Józef Czechowicz. Jesteśmy też tymi pierwszymi, którym jest dane w tej masie po raz pierwszy nagromadzonych po Poezie pamiętek zagłębić się w atmosferę Jego epoki. Jego dni Jego godzin schyłkowych nad kartką papieru. I relikty te zostaną z nami na zawsze, jak na zawsze z pamięcią Czechowicza zostanie nasz podziw i przywiązanie. Nie żałuj, zstąpiłeś z mitu — można strawestować słowa Poety dla zadokumentowania naszej bliskości z Nim obecnością.

Otworzyło się i zamknęło w Lublinie kolo Jego ludzkiego losu. Należy chyba do dziwnych przypadków — jak dziwne było wszystko i w poezji — że miejsce Jego urodzenia, miejsce nierwiec obliczeń twórczych, miejsce śmierci i miejsce poświęcenia sławy znajdują się tak blisko siebie. Rzadko spotykane, by przy takiej rozpiętości wizji poetyckiej sam żywioł wpisał się w tak niewielki obszar przestrzenny. A również ludzki szczerak po pamiętnym bombardowaniu dnia 9 września 1939 r. pozostały w salonie fryzjerskim przy ulicy Krakowskiej Przedmieście i Kosciuszki, pochowany następnie na lubelskim cmentarzu był tak niki. Jak by sam los wyraził życzenie, by z tego, co było sprawą Czechowicza, została sama poezja.

Trudna poezja. Trudna nie przez nagromadzenie hieroglificznych znaczków pozorujących wnikiwość postrzegania i oryginalność wyrazu, ale trudna przez odwagę, czy nawet determinację oddania się bez reszty konsekwencjom narastającej wizji. To ta poezja mówi, że nie

ma ucieczki przed atakiem świata, choćby tak wydawałoby się najwyczerpaniejszym, jak *twist u głowy skrzydła poprzez ptasią ciemność*. Mówi, że *na życiu nie ma równika*, według którego można by bezpiecznie żeglować, że *przez fałę skrzydłał tanatos*. Jeżeli nawet nie w kategoriach tragicznych — aczkolwiek i o nie potrąca ta rozdziana struna — widzieć filozoficzną wymowę tej poezji, to przecież pozostaje nuta resentymetu dominująca przyciszonym i jak by pogodzoną skargę powtarzającym minorowym tonem. Czechowicz nie przynosi łatwego pocieszenia. Przynosi prawdę. Zarówno swą prawdę psychologiczną, jak artystyczną. Dlatego nie potrzebuje krzycheć. Jego szepc jest tak bliski, tak łatwo wywołujący rezonans u czytelnika, jeśli ten posiada choć w pewnym tylko stopniu wrażliwość poetycką, że zbędne jest tu jakiegokolwiek podniesienie głosu. Zresztą często nagłośnione było to „ach”, które jest wymówione szepc.

Ale nie można tu ulegać łatwym uproszczeniom, które jak wszystkie uproszczenia ma właściwość deformacji. Przy zjawisku tak osobliwym i specyficznym potrzebne są miary nie zdawkowe nie wygadane w szablon. Owszem, instrument poetycki Czechowicza miał strój minorowy, wyrażający smutek, a nawet rozpacz. Ale musimy uwzględnić, że sama czynność zwycięskiego nazwania, to jakieś — jak bywa w twórczości — wyrwanie brzyty z obszaru nienazwanego, by się znalazła w świetle poznania nie może pozostać u twórcy bez raptownego, niespodzianego, a olśniewającego poruszenia. Nazwać, uchwycić słowem, nigdy nie może nie wywołać drgania, w wyniku Czechowicza niewątpliwie trudnej, niewątpliwie przewłomionej, ale jednak radości. Udany efekt artystyczny, udany akt wypowiedzi, jest zawsze temu uczuciu bliski, co niewątpliwie czuli i rozumieci starożytni Grecy, skoro Euterpe, to znaczy Radosna, nazwała muza pieśni lirycznej. Jeszcze na swego autora czeka rozprawa o smutku poetów. Chyba poważna rekompensata w bolesnym doznaniu świata była im ich własna twórczość, a może nawet podejmowali instrument minorowy dlatego, że na nim najszybciej spełniała się ich osobista wypowiedź. Nie znaczy to, że ich poezja dotknięta była tym, co się czasem nazywa kłamstwem sztuki, ale przy takim znacznym zaangażowaniu w pisarstwo, przy traktowaniu tej sprawy jako pierwowzplanowej, wychodzącej nawet przed prowadzenie osobiste, nie sposób artystycznie celnych dokonań nie uznać za powód, a nawet całkowitą treść przeciw i żywiołowej satysfakcji. Pastuszek spowiadający swój smutek wierzbowej fujarce doznawał ulgi. Poeta zwieryający swą rozpacz wierszom — radości. Analogicznie na przykład do fizyka atomowego, który nawet czując w swym organizmie obecność śmierci spowodowanej napromieniowaniem przeżywa akt szczerzego uniesienia z racji dokonanego odkrycia.

W jednym z najbardziej dojmujących, konfesyjnych wierszy, mia-

nowicie w „modlitwie żalobnej” mówi zresztą sam Czechowicz:

*Jeść da nam takt pić da nam rytm i da się ucieścić*

Czyżby więc coś takiego, jak fortunny układ słów było w stanie skompensować wszystkie porażki poety? Ale pamiętajmy, że chodzi tu o słowa konstytuujące nie tylko nowy wyraz wzruszenia, lecz także nową postać filozofii, nowy rodzaj zwycięskiego rozrachunku ze światem. Tutaj narwać równa się ująć, a ująć — zwyciężyć. W blasku odkrycia mieści się wieczność, a tej nie można przepłacić. Jest coś szczególnie anhelicznego w tym przyniesieniu jak gdyby znikąd, z krainy poetyckich nawiedzeń nowych i ciągle nowych światła, pragnień, uniesień, tęsknot i niepokojów. Dekalogu nowych wzruszeń. Do tego nie wystarczy być dobrym poetą. Potrzeba być czymś więcej: poetą.

Józef Czechowicz. Pozostanie na zawsze tajemnicą tej wielkiej indywidualności — a nawet gdyby żył, uprzyślednić by nam jej nie mógł — w jaki sposób przy tak wielkim ciśnieniu panujących, niejako obowiązujących w dwudziestolecie poetyk ten nieznan, jeden z wielu próbujących, raptiem odnalazł słowo inne i własne. Bo Czechowicz się nie rozwijał. Czechowicz się stał. Rychło też znalazł się na antypodach praktyki awangardowej (mimo że mianem awangardy obejmuje się Jego twórczość) ferującą wzorec wiersza opartego na zasadzie konstrukcji, wyczelowania, rachunku. Podobnych komponentów Czechowicz nigdy nie potrzebował. Siła i uroczność wizji sama podpowiadała słowa intuicyjnie trafne, otwierające szerszą perspektywę poetyckiego doznania, niż inżynierskie i precyzyjne obliczenia. Nie przypatrywał się swemu doznaniu oddzielnemu od siebie i postawionemu na zewnątrz, jak model, któremu należy znaleźć odpowiadający kształt. Żył z nim razem, i razem żył w słowie. Słowo było dlań nie tym składnikiem, po którym w na stonym stadium po doznaniu trzeba było sięgnąć, a jeszcze przypilnować, by pasowało. Było nieodłączne od impulsu. Potrzeba wyrażania symultanizacji związana była z postrzeganiem, z przyjmowaniem zjawiska. W wierszu zatytułowanym „w kolorowej nocy” istnieje wyraz *taanis*, którego w ogóle nie ma w języku polskim. Ale znalazł się w języku poetyckim właśnie przez konieczność natychmiastowego nazwania, bezwzględna do tego stopnia, że stwarzała nowy wyraz, kiedy istniejący nie zdążył się pojawić. I kiedy istniejący nie zawarby w wymagany sposób przeżywanego nastroju. (Wiemy, że był to nastroj wywołany księżycową nocą widzianą z okna jadącego pociągu). Sam wyraz więc nie jest po prostu, czy tylko neologizmem. Jest czymś w rodzaju — jeśli tak można powiedzieć — wizualnej onomatopei mającej wszelkie prawa poetyckiego wyrazu, niezależnie od faktu, że nie godzi się na nią leksykon.

Czechowicz. Mówić o tej poezji to znaczy czynić osobiste wyznanie. Nie jest to jednak jakiś ekshibicjonizm. Przeciwnie poeta mówił do wszystkich. We wszystkich posiadających aparat poetyckiego odbioru doprowadzał do wyświetlenia tych nastrojów, które w nas tkwiły nie zawsze w formie uświadomionych stanów. Oto jest pora spadania kasztanów, powietrzem przebiega jakiś dreszcz oczekiwania, wydłuża się perspektywa prowadząca dalej, niż wzrok, jak by w chęci umożliwienia autopsji czegoś, co zostało zapowiedziane, a jeszcze nie nadeszło. Tak, to *jesień jest kilometr*. I nie sposób oddzielić tych nie własnych przecież słów od najbardziej własnego, zdawałoby się tylko prywatnego przeżycia. A to Czechowicz dał nam jesień, bo dał sposób



Projekt pomnika Józefa Czechowicza. Autor projektu: Tadeusz Skwarczyński (CAF — J. Trembecki)

patrzenia na nią, umożliwił ją nam nazwą trafną i zupełną. I nie sposób też nie doznać dodatkowej satysfakcji płynącej stąd, że ta magia pięknego i prawdziwego nazwania nakłada się na nasz własny, lubelski krajobraz. To nie tylko „Stare kamienie”, nie tylko „provincia noc” są tego dowodem. W całej twórczości Czechowicza przewija się ten motyw, który krytyka literacka nazwała motywem prowincji, a który jest świadectwem przeżyć uniesionych właśnie stąd, z rodzinnej wioski. Nie przytłumił go zgiełk stolicy francuskiej, nie umniejszył i nadwiślańskiej. *Tak chodzić tak oglądać sceny, sny, festyny* mógł tylko ktoś, kto przyjął głęboko w siebie urok miejsca swojej młodości.

Wspomniałem o momencie osobistego odczucia. Chcę jeszcze raz podkreślić, że nie ma to nic wspólnego z zawężeniem pola poetyckiej emisji, ale wynika po prostu z charakteru tej twórczości. Sam Czechowicz powiedział o sobie *rozmowny cudownie na wszystkich nas*. Mówił więc do wszystkich, ale jak by do każdego oddzielnie. Jego wiersz przychodzi z pomocną rozmową wtedy, kiedy potracą impulssem wrażliwość szuka sposobu przyjęcia nadchodzącego zjawiska. I pozostawia nazwę która jest odąd kategorią patrzenia na rzeczywistość. Jakich kawał lubelskiego pejzażu rysuje się w moim widzeniu liniami Czechowicza.

Pisał o Lublinie, Puławach, Zamościu, Krasnymstawie. Jednakże jego wiersz nigdy nie pozostawał w obrebie intencji wyłącznie ilustrowania. To nie obrazki z natu-

ry, to nie pocztówki poetyckie, nie akwarele malowane na marginesie, albo dla odprężenia. To zawsze odskocznia do rozległej perspektywy wizyjnej zawierającej w sobie zasadniczą filozofię Poety. I w perspektywę tę umiał Czechowicz wprowadzić z każdego miejsca. Ujmował ramieniem i pomagał prowadzić krok. Zawsze do zachwycenia. Nie wiedziałem, że w tym właśnie miejscu w imieniu kolegów i własnym przyjdzie mi publicznie złożyć tych kilka słów w kruchej postaci podziękowania Poezie. A powód ku temu równa się rozmiarami Jego poezji. Powodem tym jest możliwość wsłuchania się w ten głos uroczny, wyszeptujący z lubelskich uliczek najgłębszą prawdę piękna, opowiadający obrazy i muzykę sfer astralnie dalekich, a oddalonych o codzienną codzienność. Powodem tym jest pomoc w widzeniu świata, Czechowicz jak czarnoksiężnik unosi zasłonę i nagle okazuje się, że widzimy to, na cośmy tylko patrzyli. Zauroczył poezją tę kraj. Umilowaniem pozostał w niej na zawsze. I za to jesteśmy mu wdzięczni.

Wśród wydarzeń kształtujących oblicze naszego życia kulturalnego w ciągu więcej niż nawet dwudziestu czterech lat zgromadzenie pamiętek po Józefie Czechowiczu jest jednym z najdonioślejszych. Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się od wyrażenia słów podziękowania tym wszystkim, którzy się do tego przyczynili. Nie mogę specjalnie dziękczynnie nie skierować ich pod adresem Przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, mgr Pawła Dąbka, którego rozumnej trosce i w przesłóści zawdzięczać będziemy niejedną trwałą wartość.

Dziwiłaby dzień września odebrał nam kiedyś Poetę. Ale i tenże po dwudziestu dziewięciu latach oddaje nam Jego świat.

ży szczęśliwie ocalał, mniej groźne okazały się pioruny niż zmiana gustów twórców i odbiorców sztuki.

Rysunki z teki Malletskiego stały się powodem i podstawą rekonstrukcji zewnętrznego wyglądu Ratusza, dokonanej w roku 1937 pod kierunkiem inż. Tadeusza Zaremby. Przywrócenie attyki i dekoracji na elewacjach, wydobycie częściowo spod warstwy XIX-wiecznych tynków, było przedsięwzięciem dużej miary i chociaż popelniono szereg drobnych błędów, nadano Ratuszowi kształt siedemnastowieczny.

Ostatnia wojna oszczędziła budowlę miasta i Ratusz. Wnętrze uporządkowane po zdewastowaniu w 1939 r. jest od wyzwolenia siedzibą władz miejskich. O latach wojny i okupacji przypomina Krzyż Grunwaldu, nadany miastu 12 października 1947 r. i umieszczony przy wejściu do Ratusza.

Stary zabytek wymagał stałej opieki i dostosowania do nowych potrzeb. Powojenne dzieje Ratusza rozpoczyna pismo Zarządu Miejskiego miasta Zamościa z dnia 21 listopada 1945 r. skierowane do Konserwatora przy Urzędzie Wojewódzkim Lubelskim w sprawie remontu dachu...tak podziurawionego w czasie okupacji, że woda opadła zalewała pomieszczenia na drugim piętrze. Na roboty te wydano wówczas 19824 zł.

To był początek. Po wielu latach namysłów i przygotowań zdecydowano się na remont kapitalny i instalację centralnego ogrzewania. Dokumentację techniczną tych prac przygotowało Wojewódzkie Biuro Projektów w Lublinie wiosną 1959 r. Później trwały roboty, prowadzone w różnym tempie, zlecane, pod-

zlecane i przerywane targami o dokumentację i dyskusjami o tym, co i jak jest, będzie lub powinno być zrobione. Gąszcz i rodzaj tych wszystkich spraw potrafił dziś stworzyć tylko pan Józef Duda — kierownik Wydziału Budżetowo-Gospodarczego Prezydium MRN w Zamościu, który oddał sprawę Ratusza tyłem uporu, co przedsiębiorczości, by dzieło renowacji doprowadzić do skutku i końca.

Zaczęło się od instalacji centralnego ogrzewania, zmiany pokrycia dachu i przebudowy schodów we wnętrzu wieży. Skończyło się... na generalnej przebudowie wnętrza, likwidacji przebudowie wnętrza, zmianie wszystkich tynków, czesłowej rekonstrukcji i dekoracji poszczególnych pomieszczeń, stolarki drzwi i okien, balustrad, żyrandoli itd. itd. Koszt tych prac wyniósł około 15 milionów. Złożyły się nań fundusze Rady Główniej SFOKIS, Ministerstwa Kultury i Sztuki (za pośrednictwem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków), Ministerstwa Finansów, oraz PWRN w Lublinie i PMRN w Zamościu.

Wykonawcy robót — Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane w Zamościu — ustąpił z placu budowy w roku 1965, wykonując do końca jedynie prace instalacyjne. Od początku 1966 r. prace podjęły Pracownie Konserwacji Zabytków.

Zaczęło je od podstaw, od rezeznania historycznego, które zamknięte zostało w dokumentacji naukowo-historycznej, przygotowanej w roku 1963 przez mgr Z. Baranowską z Oddziału PKZ Warszawa. Pracownia Projektowa tegoż Oddziału, pod kierunkiem głównego projektanta inż. Tadeusza Makarskiego przygotowała pełną dokumentację architektoniczno-konserwatorską. Warszawskie PSP wykonały projekty wnętrza niektórych

pomieszczeń pierwszego i drugiego piętra. Wykonawstwo prac zostało przejęte w roku 1967 przez nowo powstały Oddział PKZ w Lublinie, a kierowanie nimi spoczywało w rękach dyrektora Oddziału inż. A. Zaniewskiego i naczelnego inżyniera W. Obarę.

Czy dokonanie tak poważnych i trudnych prac budowlano-konserwatorskich zostało uwieńczone sukcesem?

Niewątpliwie tak!

Projektanci i wykonawcy, korzystając z możliwości i funduszu inwestora — PMRN w Zamościu, oddali miastu cenny obiekt zabytkowy (I grupa), stanowiący najbardziej znaną i efektywną budowlę w zespole urbanistycznym. Przyrestosował jego starą funkcję — siedzibę władz miejskich — do aktualnych potrzeb. W nowej oprawie architektonicznej wnętrza znajdują tu pomieszczenia: radni miasta (duża sala posiedzeń), urzędujący członkowie Prezydium MRN, Urząd Stanu Cywilnego, Wydział Budżetowo-Gospodarczy, Organizacyjny i MKPG. Parter zajmuje kawiarnia i klub pracowników PMRN. Poszczególne sale i gabinety urządzone i wykonane są nadszycają starannie i bogato z zachowaniem reliktyw zabytkowych.

Wnętrze Ratusza stało się równie reprezentacyjne jak jego bryła zewnętrzna. Z pewnością nigdy przedtem nie wyglądało tak efektywnie. Szczególnego wdzięku dodała mu żyrandola — dzieło Piotra Mieleczarka z Warszawy.

Tych wszystkich, którzy długie lata oddawali Ratusz okryty zęsta siałka rusztowań, nie mogąc dotrzeć do jego wnętrza, i tych, którzy pamiętają po-

nure, poprzegradzone korytarze i sale szorzed remontu zainteresują niewątpliwie odkrycia architektoniczne poczynione w trakcie prac renowacyjnych. Prowadził je Henryk Siuder z Pracowni Projektowej PKZ w Warszawie przy udziale doc. dr. Adama Miłobędzkiego oraz inż. podpisanego z ramienia Pracowni Dokumentacji Naukowo-Historycznej Oddziału Lubelskiego PKZ. Wyniki badań są bardzo cenne dla badaczy architektury Zamościa, wyjaśniają bowiem wiele tajemnic ukrytych dotąd w murach rozbudowywanej i przebudowanej wieleokrot budowli. Nie miejsce tu na szczegółowe omawianie specjalistycznych zagadnień. Chciałbym jednak podzielić się z Czytelnikami kilkoma przynajmniej faktami.

Odkrycia i badania potwierdziły wysuwaną dawniej hipotezę o wolno stojącej wieży Ratusza Bernarda Morando. Znalezione zostały pod późniejszymi przemurzeniami jej autentyczne kształty, podziwały architektoniczne otwory, a nawet oryginalne, boniowane tynki z czasów Morando, udostępnione do oglądania w maleńkiej klatce schodowej, odkrytej między murami, na drugim piętrze, obok sali posiedzeń. Jest to najstarszy i najbardziej czytelny w obecnej bryle fragment Ratusza.

Stwierdzono, wbrew pierwsiemu przypuszczeniu, że wczesny ciąg podcieni, wzniesionych około połowy XVII wieku, był otwarty. Odslonięto filary arkad, ogzysmowane, podtrzymujące łuki i sklepienia, ozdobione sztukateriami „typu lubelskiego”. Odkrycie to wnoszą konkretne podstawy do odtworzenia, bez żadnych niemal rekonstrukcji, podcieni Ratusza. Odtworzenie ich i włączenie w ciąg podcieni całego Rynku Wielkiego powinno być ukoronowaniem prac konserwatorskich w Zamościu. Na razie zewnętrzne arkady są przeszklone, gdyż ich wnętrza wykorzystano na

kawiarnię i klub. Czyny to wielką szkodę architekturze Ratusza i całego Rynku Wielkiego. Otwarcie podcieni powinno nastąpić w momencie znalezienia dla kawiarni i klubu innych lokali poza Ratuszem. Oby stało się to w niedalekiej przyszłości!

Odkryto oryginalne profilowane obramienia kamienne otworów okiennych w oknach pierwszego piętra w elewacji frontowej oraz autentyczne w kształcie okno w sali pierwszego piętra przy narożniku południowo-wschodnim. Obramienia i otwór okienny pochodzą z okresu rozbudowy Ratusza przez Jaroszewicza i Wolffa. Niestety, stan techniczny tych obramień uniemożliwił ich całkowite odsłonięcie. Fragmenty możemy oglądać ponad parapetami okien w miejscach przerwania opasek wyrobionych z tynku.

Niemalą atrakcją dla użytkowników i zwiedzających Ratusz będą odkopane piwnice pod parterem po prawej stronie budynku. Zostały one zasypane w trakcie przebudowy XIX-wiecznej.

Bernardo Morando, Jaroszewicz i Wolff, Malletski, inż. Zaremba, inż. Makarski i jego zespół, liczna grupa pracowników PKZ, komisje konserwatorskie, kolejni konserwatorzy wojewódzcy, inspektorzy nadzoru — w latach 1963—66 inż. Kaczorowski, a obok nich dawni zamocujący mecenasi i obecni inwestorzy — przewodniczący Prezydium MRN Eugeniusz Zgnilec i jego zastępca Witold Stryjek — oto ludzie, których wiedza, talent i energia złożyła się w ciągu wieków na zamojski Ratusz. Zawdzięczamy im jego obecny kształt, długowieczny i żywoty i trwałość.

# Idą skacząc przez progi

## czyli rzecz do studentów pierwszego roku

ciąg dalszy ze str. 1

"Obawy obywateli o rentowność tych wkładów są o tyle uzasadnione, że w skali krajowej — jak poinformował red. Bohdan Rolinowski w "Trybunie Ludu" (styczeń 1966) — spośród 100 studentów uczących naukę tylko 20 kończy ją w terminie, to jest po 5 latach. Co rok na 100 otrzymuje zaliczenia roczne 80 studentów, a 20 repetuje lub odchodzi po skreśleniu z listy.

W roku 1965/66 odpadło w uczelniach lubelskich: UMCS — 14 proc. (ale na matematyce — 40 proc.), na filologii rosyjskiej — 30 proc., na filologii polskiej — 26 proc., AM — 6,5 proc., WSR — 15 proc.

Ponieważ od dobrego startu i szczęśliwego początku zależy największe, szukamy przyczyn niepowodzeń studentów pierwszych lat studiów i środków zaradczych.

### Progi na torze przeszkód

Odsicw i odpad studentów na I roku jest szczególnie bolesny z punktu widzenia zarówno osobistego, jak społecznego. Osobistego, bo młody człowiek, który nie zaliczy I roku, musi zdawać egzamin wstępny po raz wtóry. Jeśli pragnie w ogóle kontynuować studia, nie straciwszy wiary w siebie. Społecznego, gdyż okazuje się wówczas, że niezaspokojenie zajmowanego miejsca komuś, kto zdał, a nie został przyjęty z braku miejsc, choć może spełniał nadzieje, pokładane w nim przez społeczeństwo.

W ogólnym mniemaniu główną przyczyną odsicwu i odpadu jest tak zwany próg, a raczej progi, wśród których rozróżniamy: psychologiczny, formalny, społeczny, dydaktyczny. Progi dzieli szkołę wyższą od średniej, dojrzałość od młodzieńczości, autonomiczną fazę życia, czyli samorządność, od heteronomicznej, w której decyduje wola i autorytet innych. Progi — to przeszkoda utrudniająca adaptację, czyli przygotowanie do nowych warunków życia i współżycia, pracy, nauki.

### Adaptacja psychologiczna

Szczęśliwe pokonanie progu psychologicznego świadczy o tym, że student I roku znalazł na studiach to, czego szukał, co odpowiada jego zdolnościom, zainteresowaniom, zamiłowaniom i upodobaniom. Angażuje się w studia emocjonalnie, bo stwierdził, że przekonaniem wewnętrznym, że w wyborze studiów kierował się motywami właściwymi (motywacja pozytywna) w przeciwieństwie do kolegów rozczarowanych i zawiedzionych (motywacja negatywna). Nawet jeśli ma braki w technice uczenia się i metodologii studiowania, zapał i wiara w siebie uskrzydla jego poczynania, toteż szybko przystosowuje się do nowego trybu życia i pracy.

Zważywszy, że 40 proc. wszystkich maturzystów decyduje się przystąpić do egzaminów wstępnych, ale tylko połowa, to jest 20 proc. (jedna piąta), dostaje się na studia, miejmy nadzieję, że dzięki tej podwójnej selekcji większość studentów I roku stanowi element o motywacji pozytywnej umożliwiającej adaptację psychologiczną.

Są to przeważnie absolwenci liceów ogólnokształcących nie tylko dlatego, że zgłasza się ich na studia dwa razy więcej niż kończących technika zawodowe, ale i z tego względu, iż dzięki lepszemu przygotowaniu w zakresie przedmiotów ogólnokształcących lepiej sobie dają radę na egzaminach wstępnych. Wydaje się, że wykształcenie ogólne wydatnie pomaga w adaptacji psychologicznej. Wiele też uczyniło kadra pedagogiczna z opiekunami lat na czele, rozbudzając zainteresowania dyscypliną naukową i wydarzeniami bieżącymi. Jeszcze więcej dokona sam student, jeśli nie poprzestanie wyłącznie na tym, co musi studiować w ramach rygorów, ale pasjonuje się czasopismami i książkami popularnonaukowymi z zakresu studiowanej dyscypliny, przegląda regularnie lokalną prasę

codzienną i wybrane periodyki popularne, nie stroni od odczytów, radia, telewizji, kina, teatru, muzyki, wystaw i muzeów, by właśnie dzięki rozszerzaniu horyzontów wykształcenia specjalistycznego i ogólnego przyspieszać adaptację psychologiczną. Okresowe spotkania z zapraszonymi przez organizację młodzieżowe przedstawicielami nauki, kultury i techniki, poznanie miasta swych studiów od strony historycznych zabytków i nowoczesnych osiągnięć, by każdorazowo powrót z wakacji nie kojarzył się z zesłaniem do miejsca katorgi — oto inne formy przekraczania progu psychologicznego. W momencie przejściowego załamania, zniechęcenia, buntu czy konfliktu warto pomyśleć o tych tysiącach rówieśników, którzy przeżywają tragedię, nie dostawszy się w ogóle na studia, i zazdrościć studiującym szczęściarzom. Dobrze by było już od I roku studiów wykryć jakieś zagrożenie, problem, temat szczególnie pasjonujący i uczynić zeń oś swych zainteresowań, a może nawet kierunkowskaz aż do pracy magisterskiej włącznie.

Red. E. Chudziński, pisząc w miesięczniku „Student” (grudzień 1967) o edukacji pana magistra, relacjonuje, że w świetle badań socjologicznych dra W. Kwaśniewicza 70 proc. studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego nie ma żadnego stosunku emocjonalnego do zajęć, na które uczęszcza. Jak dotąd — pisze Chudziński — szkoła wyższa nie dopracowała się takiego systemu kształcenia, który zmuszałby studenta do samodzielnego i aktywnego zdobywania wiedzy, który nie hodowałby w nim infantylnych „odruczów” obronnych, a raczej wyzwał indywidualne zainteresowania i w pełni świadomą odpowiedzialność za pięcioletni pobyt w uczelni.

Czy rzeczywiście tylko uczelnie są winne? Winę za brak motywacji pozytywnej można również zważyć na szkolnictwo niższych szczebli, na rodziców, środowisko, skoro nie ukierunkowało studenta właściwie. Pomijmy brak reorientacji zawodowej w niektórych szkołach czy nacisk rodziców na dzieci, by szły na studia „opłacalne”. Weźmy tylko pod uwagę owczy pęd na modne kierunki. Oto dane z rekrutacji w bieżącym roku w skali krajowej: na jedno miejsce na uczelni przypadało średnio 2,2 kandydatów (mowa o uczelniach podlegających Ministerstwu Oświaty i Szkolnictwa Wyższego). Poniżej dowód nierównomierności zgłoszeń na 1 miejsce na poszczególnych kierunkach uniwersyteckich: archeologia — 6,8, filologia polska — 6,8, filologia węgierska — 6,7, historia sztuki — 6,3, nauki polityczne — 6,0, studia języków obcych — 5,5, archeologia polski — 5,0, etnografia — 4,5, sztuki piękne — 4,1, psychologia — 4,1, pedagogika — 4,0 (ale na Uniwersytecie Warszawskim 10).

Napływ kandydatów poniżej średniej krajowej: astronomia — 1,3, chemia — 1,6, filologia polska — 2,1, fizyka — 1,4, matematyka — 1,6, filologia klasyczna — 38 na 50 miejsc, wychowanie techniczne — 136 na 180 miejsc.

W wyższych szkołach rolniczych: mechanizacja rolnictwa — 3,3, rybnictwo — 3,1, technologia rolnospożywcza — 3,0, leśnictwo 2,5, weterynaria — 2,4.

Pomijamy politechniki, akademie medyczne, wyższe szkoły pedagogiczne i inne uczelnie, ograniczając się do stwierdzenia, że istnieje pewna moda na uczelnie. W Lublinie tak oto uszerogowały się 4 uczelnie państwowe według natoku kandydatów: UMCS — 2630, WSR — 1244, AM — 920, WSI — 660. W skali krajowej uniwersytety i wyższe szkoły rolnicze również zajmują czołowe miejsce pod tym względem.

Do dyskusji i badań wśród młodzieży przekazujemy problem: czy moda na kierunki i uczelnie wpływa ze szczych zainteresowań, uzdolnień i potrzeb indywidualnych, czy też z nacisków, namowy, czynników materialnych i komercyjnych. A może innych? I czy ta moda idzie w parze z zapotrzebowaniem społecznym?

**Adaptacja formalna**

Udany przeskok przez próg formalny — to przystosowanie się do nowej struktury i organizacji cha-

rakterystycznej dla szkolnictwa wyższego. Zorientowanie się w hierarchii uczelnianej, wydziałach, sieci komórek administracyjnych, kompetencjach poszczególnych instancji (senat, kolegium rektorskie, uczelnie i prodziekan, kierownicy katedr, opiekunowie lat, sekretariaty itd.), w programach studiów i rygorach zaliczeniowych, regulaminach i statutach niezwykle pomaga w karnym włączeniu się w zdyscyplinowaną społeczność akademicką i chroni od wyobcowania czy konfliktów wywołujących bunt wewnętrzny, niechęć i rozczarowanie. Dopóki wszystkie uczelnie nie pójdą śladem Politechniki Warszawskiej, która — jak podaje prof. Kietlińska — wraz z zawiadomieniem o przyjęciu na studia przesyła kandydatowi powielony informator z poradnikiem i regulaminem studiów, studenci I roku powinni dążyć do zebrania odpowiednich informacji i porad, organizując za pośrednictwem starszych roku spotkania z opiekunami lub starszymi kolegami, delegowanymi przez poszczególne organizacje młodzieżowe. Niestety, w ub. roku na takie spotkanie informacyjne, zorganizowane dla studentów I roku przez Katedrę Pedagogiki przy WSR, przybyła garstka osób na kilkaset zaproszonych.

**Adaptacja społeczna**

Pomyślnie przekroczenie progu społecznego świadczy o włączeniu się w środowisko akademickie, w społeczność studencką, o zżyciu się z kolegami i o pozytywnym stosunku do pracowników swej uczelni.

Najcharakterystyczniejszym przejawem społeczności akademickiej jest współżycie w domach studenckich. W związku z utyskiwaniem niektórych studentów na nie zawsze właściwą atmosferę pracy w domach studenckich warto sobie zamyslić, że atmosfera ta zależy od kultury samych studentów, którzy nie mogą zapominać, jaką pomoc materialną stanowi utrzymanie miejsca w „akademiku”. Podporządkowanie się funkcjonalizmom samorządu studenckiego i okazywanie mu pomocy bezsprzecznie odda sprawie nieocenione usługi. Posłuchajmy zresztą dr Marii Susułowskiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jest rzeczą znamioną, że najlepsze wyniki w nauce, co w naszym wypadku oznacza najmniejszy odpad na I roku studiów, spotykamy wśród młodzieży mieszkającej w domu studenckim. Ogólna atmosfera swobody, koleżeństwa, tworzenia się małych grup, które się razem uczą, korzystanie ze wspólnych notatek i poręczników, pomagają najmłodszym studentom w uzyskiwaniu lepszych wyników na studiach w porównaniu z ich kolegami mieszkającymi bądź w domu rodzinnym, bądź w pokoju wynajętym, często na tzw. stacji. Należałoby więc rozważyć, czy dla zmniejszenia odsicwu nie warto powiększyć liczby miejsc w domach akademickich dla studentów I roku. Dotychczasowa polityka kwatowania młodzieży w domach studenckich wyraźnie faworyzuje lata wyższe na niekorzyść I roku. Powiększenie liczby miejsc w domach studenckich dla młodzieży rozpoczynającej studia poprawiłoby może znacznie ich sytuację życiową, przyczyniając się tym samym do zmniejszenia odpadu i odsicwu na I roku. Jest to w każdym razie zagadnienie, które w świetle naszych materiałów warto zasugerować. Studenci mieszkający przy rodzinach też często nie mają odpowiednich warunków mieszkaniowych. W najgorszej jednak sytuacji są ci studenci, którzy mieszkają katem w warunkach czasem bardzo trudnych, ponieważ nie mają środków finansowych na wynajęcie pokoju („Życie Szkoły Wyższej”, nr 5/1967, s. 83).

Przejdźmy do innych form adaptacji społecznej. Praca w organizacji młodzieżowej (Zrzeszenie Studentów Polskich, Związek Młodzieży Socjalistycznej, Związek Młodzieży Wiejskiej, Związek Harcerstwa Polskiego delegujący chętnych do współpracy z drużynami szkolnymi), uczestnictwo w kolach i obozach naukowych, kółkach samokształceniowych, klubach dyskusyjnych i zespołach artystycznych stworzy z miejsca studentowi I roku poczucie przystosowania społecznego. Ważną rolę odegra tu poznanie lubelskiego środowiska stu-

denckiego z jego świetnym teatrem „Gong 2” i znakomitym zespołem tańca ludowego przy UMCS, chórem WSR i innymi studenckimi zespołami artystycznymi, które zbierają laury nie tylko w kraju. Rozważanie w ogólnopolskiej problematyce studenckiej dają studenckie periodyki: krakowski miesięcznik „Student” i warszawski tygodnik „ItD”, nie mówiąc już o biuletynach lokalnych czy też „Kamień”, która sporo miejsca poświęca problematyce wyższych uczelni.

Przywiązanie do uczelni nie pozwoli na szkalowanie i dyskredytowanie swego środowiska, bo rzucanie cienia na uczelnię — to poniżenie siebie jako studenta i pomniejszenie wartości dyplomu. Godnie reprezentować uczelnię — oto hasło, które powinno przyświecać wszelkim koleżalom, wieczorkom zapoznawczym, imprezom i spotkaniom, by zapobiec kompromitacji jednostki przez grupę i grupy przez jednostkę.

Dużo znaczy zaufanie do kadry profesorskiej i asystenckiej, a tym samym do racji ideologicznych które ta kadra reprezentuje. Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego prof. dr Henryk Jabłoński w ocenie pamiętnych wydarzeń marcowych tak wyraził się o naukowym środowisku lubelskim:

Dla przykładu podać można, że zdecydowane wkrócenie rektora UMCS oraz kadry naukowej innych uczelni lubelskich względnie szybko położyło kres zaburzaniom w Lublinie, a młodzież powróciła do normalnych zajęć, uchwalając nawet na legalnym wiecu przeprowadzonego rektora UMCS za obojętne rzucone pod jego adresem na pierwszej nielegalnej demonstracji („Nowa Szkoła”, nr 5/1968 s. 8).

Ojcowskie podejście do źdeorien towanej młodzieży, która widać zapomniała o wymienionych wstępnie ogromnych nakładach państwa na jej studia i o elementarnych racjach politycznych gwarantujących suwerenność ojczyzny, zasługuje na synowską ufność. W związku z tym ciekawe formy wychowania patriotycznego, obywatelskiego i polityczno-socjalnego w ramach współpracy Studium Wojskowego przy UMCS i WSR z Katedrą Pedagogiki UMCS ukazuje Bronisław Getka w „Życiu Szkoły Wyższej” (nr 7-8/1968).

**Adaptacja dydaktyczna**

Jeśli student szczęśliwie przekroczy próg dydaktyczny, oznacza to, że zdołał oporać się z trudnościami uczenia się i studiowania, jakie piętrzą się przed nim po opuszczeniu szkoły średniej i wkróceniu na teren uczelni wyższej, a zatem przystosował się dydaktycznie. Połączenie adaptacja dydaktyczna jest dla studentów I roku najtrudniejsza. Posłuchajmy kilku reprezentatywnych głosów na ten temat.

Edward Pytlak, dyrektor Liceum Ogólnokształcącego nr 2 w Siedlcach, powiada w „Głosie Nauczycielskim”:

Wydaje mi się, że między szkołą średnią a wyższą istnieje zbyt duża przepaść. Do matury uczeń jest ściśle kontrolowany: przez nauczycieli, przez wychowawców, przez rodziców. Często uzyskiwane oceny, wywiady, dzienniczki, codzienna niemal kontrola rodziców przy odrabianiu lekcji — wytwarzają atmosferę ustawicznej „gotowości naukowej”. I tu nagłe ten sam uczeń uzyskuje całkowitą niemal swobodę — rodzice daleko, na uczelni nikt go nie pyta z drobnych lekcji, nikt mu nie reguluje czasu nauki własnej, a nowe środowisko pochłania bez reszty. Trzeba wyjątkowej samodyscypliny, aby umieć narzucić sobie pewien reżim.

Tyle przedstawiciel szkoły średniej. A teraz kolej na głos pracowników naukowych w relacji Andrzeja Oracza:

Student I roku ma bardzo ubogi aparat pojęciowy i powierzone mu traktuje materiał, nie odczuwa potrzeby jego głębszego rozumienia, nie posiada „umysłu obserwacyjnego”, „kultury wypowiedzi”, nie umie wykonać niezbędnych demonstracji czy kierować dyskusją. Podstawową przeszkodą w osiągnięciu lepszych wyników w pracy przez studenta I roku jest nieumiejętność w jej organizowaniu, braki wychowawcze, niedyscyplinowanie i brak prawdziwie głębokich zainteresowań poznawczych (...) 42,8 proc. badanych miało poważne trudności w nawiązaniu kontaktu z wykładowcami, asystentami, 45 proc. — trudności w zorientowaniu się w organizacji zajęć, 14,2 proc. skarżyło się na nieumiejętność zorganizowania wolnego od nauki czasu („Głos Nauczycielski”, nr 11/1967).

A tak oto brzmią dane z oficjalnej „Oceny poziomu przygotowania młodzieży do szkół wyższych w roku 1966/67”:

Ogólnie można stwierdzić, że młodzież przystępująca do egzaminu wstępnego posiada więcej wiadomości, jednak poważnej liczbie zda-

jących brak pełnej dojrzałości, wyrobienia samodzielnego i logicznego myślenia oraz umiejętności operowania zasobem posiadanych wiadomości.

Jako członek Komisji Dydaktycznej Wydziału Humanistycznego UMCS miałem możliwość obserwować studentów młodych roczników na wielu zajęciach. Poniżej wyłowione negatywy:

1. Nieuświadczanie sobie tematu zajęć. W toku ćwiczeń studenci, dyskretnie proszeni przez mnie, by pociągnąć na kartce temat zajęć, udzielają sprzecznych informacji.

2. Tendencja do streszczania kosztem zarówno analizy twórczej, jak rozwiązywania problemów i kontrybucji ich rozwiązań.

3. Odczytywanie zamiast wygłaszania swych z góry przygotowanych odpowiedzi.

4. Nieprzywiązanie wagi do notatki idącej w parze z nieumiejętnością notowania, zapisu, podkreślenia i innych technik utrwalania.

5. Skłonność do monologowania w dyskusji bez związku z tematem i wypowiedziami poprzedników.

6. Niedociągnięcia w zakresie kultury żywego słowa: czytanie nie zawsze bieżące, wyraziste i estetyczne, wypowiedzi ciche, niezbyt płynne, niewyraźne, z błędami dyktetycznymi i wtrętami nawykowymi typu „więc, że tak powiem, ponieważ sobie, prawda, właśnie (tzw. pasyżety językowe).

7. Nie zawsze stosowny ubiór zwłaszcza studentek (np. przebywanie na zajęciach w płaszczach i nakryciach głowy) nie sprzyjający atmosferze dydaktyczno-wychowawczej.

Wylizanie tych negatywów nie ma na celu potępienia w zczub studentów I roku. Wszak spora ich część wykazuje niemało pozytywów, biegunowo przeciwnych wytkniętym powyżej zjawiskom. Niejednym pracownik naukowo-dydaktyczny zwierza się, że im wyższy rocznik, tym większe sprawia trudności dydaktyczno-wychowawcze, bo już „otrząskali się” z uczelnią, wyżyli się leków i — co gorzej — respektu. W świetle badań prof. Kietlińskiej studentki I roku Politechniki Warszawskiej poświęcają pracy domowej 4 godziny (ile trzeba), ale na II roku tylko 1,5 godziny (za mało).

Pozwólmy zresztą wypowiedzieć się „oskarżonym”, to jest studentom I roku. M. Trawińska-Kwaśniewska z Międzyuczelnianego Zakładu Badań nad Szkolnictwem Wyższym w pracy wydanej przez tenże Zakład w r. 1963 pt. „Student I roku w świetle badań ankietowych wybranych sekcji i ośrodków uniwersyteckich” rejestruje wypowiedzi 1247 badanych. Ze zwierzeń ich wynika, że tylko 18,7 proc. wyniosło ze szkoły średniej umiejętność samodzielnej pracy, a zupełnie nie umie samodzielnie pracować 31,6 proc. Tylko 20,3 proc. ma po szkole średniej umiejętność notowania wykładów, 17,6 proc. umie posługiwać się sprzętem laboratoryjnym, 53,6 proc. ma bardzo poważne trudności z pamięciowym opanowaniem materiału wykładowego, ćwiczeniowego i lekturowego. Czy po I roku studiów poprawiła się sytuacja? Nie bardzo, skoro 25,4 proc. ma nadal trudności z pamięciowym opanowaniem materiału, 13,1 proc. nie potrafi korzystać z wykładów, 10,4 proc. nie umie robić notatek z lektury, 9,2 proc. nie nauczyło się posługiwać sprzętem w laboratorium.

Badania na Uniwersytecie Jagiellońskim wykazują, że 40,6 proc. młodzieży rezygnującej na I roku ze studiów podaje jako przyczynę rezygnacji brak umiejętności wykorzystania wykładu, streszczenia, sporządzania notat z wykładu, systematycznego uczenia się. Bardzo dokuca nieznajomość techniki efektywnego uczenia się.

Już z powyższych relacji student I roku wysnuje wniosek, na co musi zwrócić szczególną uwagę. Przystudowanie znanych poradników Z. Pietraszńskiego (Sztuka uczenia się), S. Garczyńskiego (Sztuka pamiętania), S. Rudniańskiego (Technologia pracy umysłowej), Cz. Maziarza (Proces samokształcenia), J. Półturzyckiego (Ucz się sam) jest niezbędne do opanowania organizacji i techniki pracy samodzielnej. W stadium autonomicznego rozwoju osobowości, w jakie wszedł student, samokształcenie, samouczenie i samowychowywanie są zasadniczymi elementami studiów. Rzecz idzie nie o zwykłe szkolne uczenie się, ale o akademickie studiowanie, oparte nie tylko na przyswajaniu gotowej wiedzy. Chodzi również o dociekanie i badawcze rozwiązywanie problemów, twórcze zaangażowanie odkrywcze, łączenie teorii z praktyką poprzez inteligentne stosowanie przyswojonych odkrytych i przeżytych treści w nowych sytuacjach, wymagających inteligencji i teoretycznej. I

Dokończenie na str. 11

Kamena str. 8







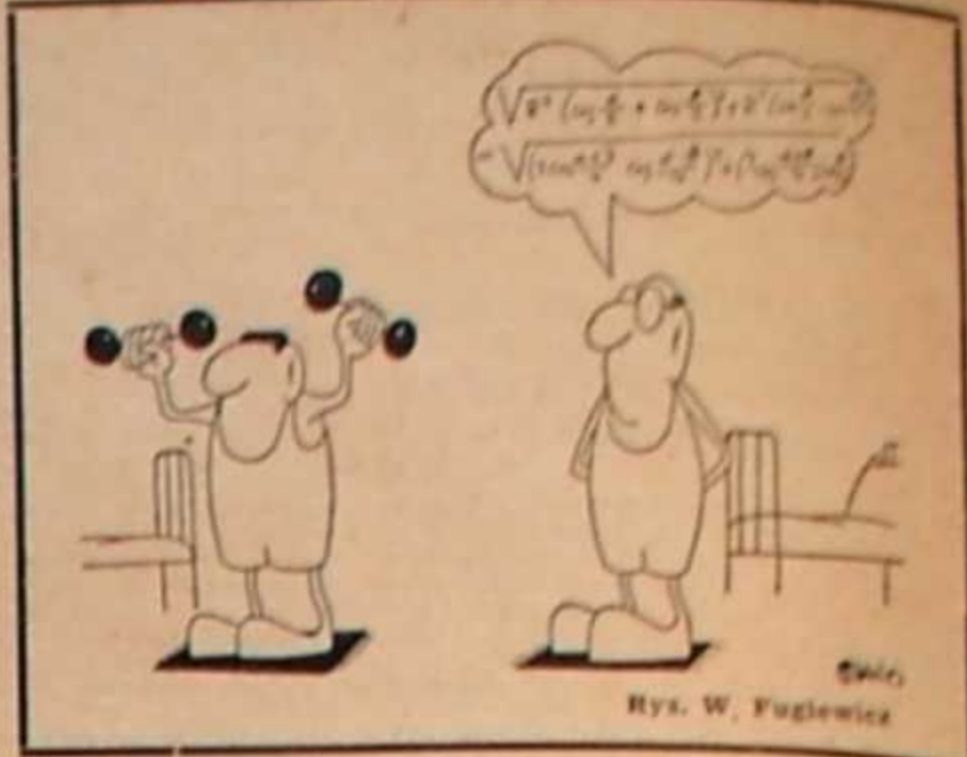


MINUTA MYŚLENIA

Zaproszenie do rzeźni

JUŻ siedem razy (pisze to K.IX.1983) Jerzy Putrament w swych "Krajobrazach"...

kształtowania mojej wewnętrznej sylwetki. Amicus Plato, sed magis amica veritas. Najdoskonalsze nawet...



Ryszard Podlewski Notatki myśliwego

Są ludzie, którzy mają do spełnienia dziwną dy-misję. Chargé d'affaires = szarża do afer? On przeżył wiele lat. Coś z tego, kiedy bez wiozosa...

BIG-BEAT

Sikacz jeszcze smakuje

PANIE Redaktorze! Gdy piszę te słowa, mam jeszcze przed sobą dwa tygodnie laby. Z góry wiem, że trudno będzie...

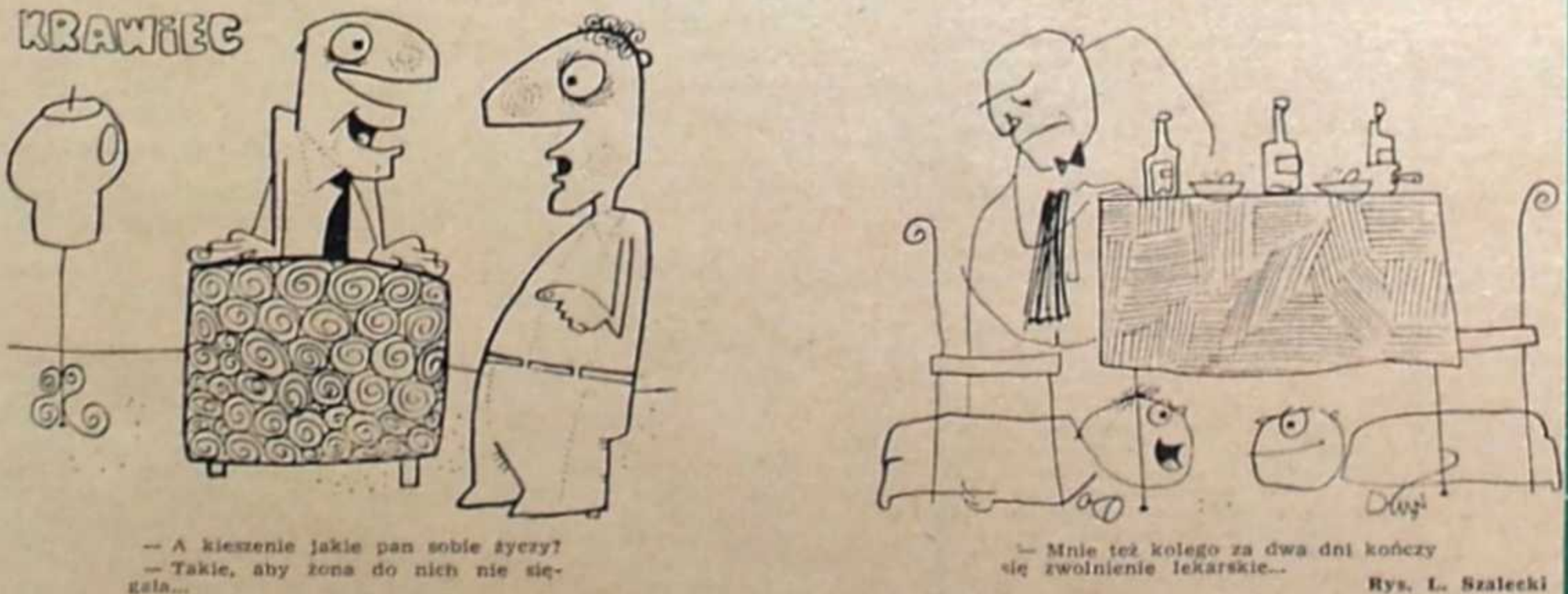
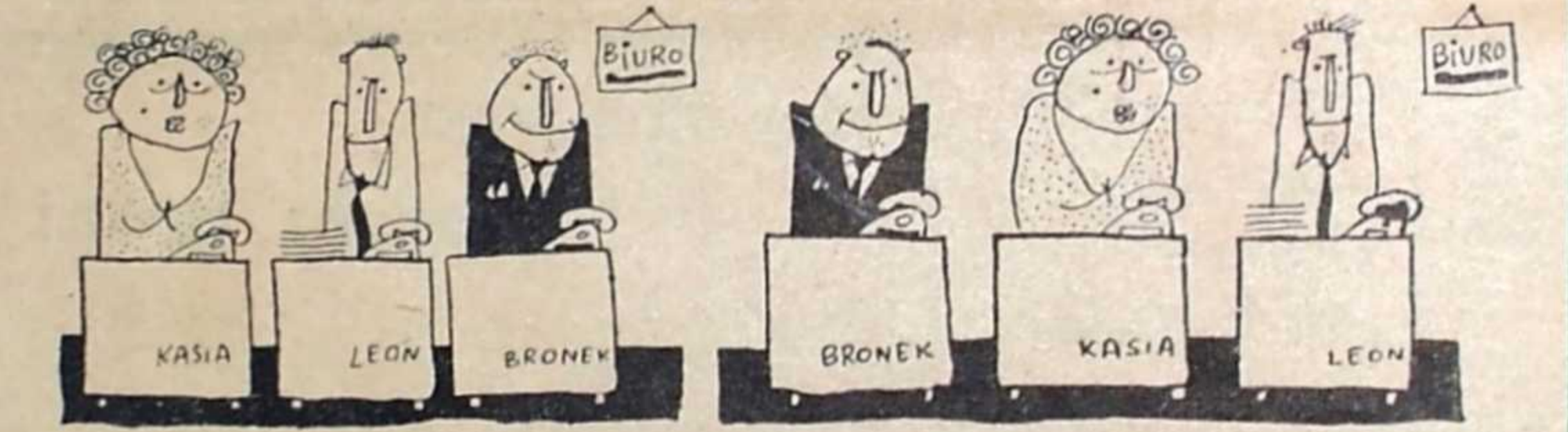
Można się będzie przeziębienie sterzać w tych okienkach, chociaż student to ponoć taka istota, której zle licho nie weźmie.

fragmentem artykułu, kiedy to Pan Profesor wylicza, ile złotych polskich ludowa ojczyzna łoży na brań studencka.

Je sytuacja wcale nie jest zbyt różowa. Na razie jednak dziecięcy, kowale, kujony, mrowy etc. mają inne kłopoty.

NOTY i notki

BARDZO WSTYDZIŁEM SIĘ za pracowników Wydawnictwa Literackiego w Krakowie, kiedy w teleturnieju TV 13 wznosił...



Odpowiedzi redakcji

Wszystkich naszych sympatycznych korespondentów, którzy wysyłają swoje teksty z prośbą o druk, zapewniamy nas, że "Kamena" jest piśmie "poczytnym"...

"Szalinyngert". Może zresztą jest to Pański żart, którego "ostrza" nie mogliśmy się dorozumieć. Oby tak było!

z lasu", który właśnie w tym numerze publikujemy. Przypominamy jednak, że za debiuty honorarium nie płacimy. Następnym razem...